№ 25 WARSZAWA d. 8 (20 Czerwca) ROKU 1874



TYGODNIK MÓD I POWIEŚCI.

Z DODATKIEM ILLUSTROWANYM UBRAŃ I ROBÓT KOBIECYCH.

Prenumerata wynosi: w WARSZAWIE kwartalnie rs. 1 k. 80.—Z przesyłką pocztową w Cesarstwie i Królestwie, kwartalnie rs 2. k. 50. Numer pojedynczy k. 15—w POZNANIU prenumerować można w księgarni Leitgebera;—W KRAKOWIE przesyłając należytość do A. Nowoleckiego w wydawnictwie Czytelni ludowéj, lub wprost do Redakcyi w Warszawie. Przedpłatą dla GALICJI z przesyłką pocztową kwartalnie złr. 4 W KRAKOWIE złr. 3. Listy i przesyłki pieniężne adresować prosimy: Do J. K. GREGOROWICZA w Warszawie Ulica Żabia N. 956 (nowy 6) dom narożny przy targu.

MATERYALISTA.

Widziałem człowieka wyniosłej postaci;
Szedł krokiem tytana, i stąpał śpiżowo,
I roje maluczkich przerastał swą głową,
I ciepłem sercowem ogrzewał współbraci,
I światłem rozumu rozjaśniał te cienie
Co kryły skarb wiedzy przed nauk karłami,
I złoto swe ciskał, chcąc kruszcu dźwiękami
Zagłuszyć jęk bólu, zmódz ludzkie cierpienie.
A tłum mu bił czołem, sławili rowieśni:
Dla niego olbrzyma świat zdawał się małym,
Dla niego, wybrańca podjęli z zapałem
Snycerze swe dłuta, bardowie swe pieśni.
Dwie drogi, dwie świetne, on odkrył przed [tłumem:
Kwiatową uczuciem, gwiaździstą rozumem.
Lecz jeśli kto z ludu wzrok wgłębił weń bacznie
To ujrzał na czole w orany głęboko
Rys bólu, i dostrzegł że jasne to oko
Wznosząc się do góry, patrzyło dwuznacznie.
Że mistrz ów wielkości, wciąż widział swój kraniec,
Kres myśli niepewny, bezbarwny i mglisty,
I cienie wśród których jak w nocy wieczystej
Nie zdoła wznieść światła nauki kaganiec.
Napróżno mu wiedza płomieniem mózg pali,
Napróżno myśl ziemska w kraj mrzonek dosięga,
Na kresach materyi stanęła potęga
Bezmierna, i mówi: nie pójdziesz już dalej:
Nie pójdziesz, bo rozum twój widmem zwodni-[czem
Ułudy, co w progach wieczności jest niczem!
Zachwiał się ów tytan, ja byłem człowiekiem
Nie baśni zbieraczem, jam prawdy osnowy
Wyszukał w zarodku i w więzi mózgowej,
Jam śledził byt istot w okresie dalekim.
Nie mig mnie gwiazdeczek, nie księgi zbutwiałe
Swem światłem, swą pieśnią w badaniach mamiły:
Jam proces tworzenia, jam tajne źdźbła siły,
Wśród szpiku zgadł kości, z muszkułów splotł ciała.
Płomiennych też uczuć nie minął mnie nawał
Gdy ciało się w kształtne oblekło kontury;
Nad skalpel jam wyżej kładł prawo natury,
I z mistrza i z mędrca człowiekiem się stawał.
A wielbiąc materyę i pracą i czynem,
Zwieńczyłem skroń swoją uznania wawrzynem.
Na ziemi, na ciasnej, myśl swoją oparłem,
A ziemia w objęciu zmysłowem mnie trzyma;
Lud chciwy nowości czci we mnie olbrzyma,
Ja czuję swą niemoc, i widzę się karłem.
Czegóż mi brakuje? dla czego i po co
Potęgą geniuszu maluczkich przerosłem,
Skarb wiedzy i badań wyniki poniosłem
Dla ludzi, a z własną wciąż walczę niemocą?...
„Niebaczny! co człeka rozumem świat mierzysz,
Odpowie mu w duszy głos grzmiący sumienia,
Ty pytasz, dla czegoś w mrok wstąpił zwątpienia...
Dla czego? boś mędrek, bo w światło nie wierzysz!
A komu blask wiary nie błysnął wśród cieni,
Ten zginie, choć mędrzec, jak pyłek w prze-[strzeni.

Ludwik Niemojowski.

III.

O drugim obowiązku

WYCHOWUJĄCYCH DZIECI.

Nie ma podobno ani jednych takich rodziców, coby nie pragnęli aby ich dzieci były najlepszemi a kiedyś najrozumniejszemi, najszlachetniejszemi, najbardziej szanowanemi, słowem otoczonemi szczęściem, jakie tylko ziemia dać może człowiekowi. Pragnienia te są naturalnym wynikiem miłości rodzicielskiej ku dzieciom, uczucia nie dającego się z żadnem innem porównać i podobno jedynego co nawet nad wrodzonem w ludziach samolubstwem odnosi przewagę. W powody jego potęgi nie będziemy się wdawali, dość nam na wiadomości że jest, że ją czujemy i pojmujemy. Ona-to jest najsilniejszym bodźcem, co nas pędzi do wszelkich poświęceń przy wychowaniu dzieci niezbędnych: niewyczerpana jednak w ofiarach, nieznużona w pracy i zabiegach, staje się często i źródłem błędów, które na dzieci wbrew naszemu pragnieniu działając, nie zapewniają im tego dobra i szczęścia jakich zdobycia tak rodzice pragną. Umiejętne trzymanie jej w karbach właściwego działania, oznaczenie granicy której nie powinna przekraczać, jest tu konieczne, bo inaczej cel wychowania mimo naszej woli może być chybionym i wprost przeciwne sprowadzić następstwa. Utarte pojęcia o jedynakach i jedynaczkach, jako typach złego wychowania, powstających z miłości bez granic rodzicami władającej, mogą tu służyć za dowód jak w uleganiu jej bacznym być należy. Wymaga tego nie tylko przyszłe dobro moralne dziecka, ale i jego szczęście. Wprawdzie zapewnienie przewagi rozumowi nad tem wielkiem uczuciem jest trudnem, ale rozsądek rodziców wyrobiony wykształceniem, zawsze mający na pamięci przyszłość dziecka, znajdzie tu zapewne równowagę, do utrzymania której wielce przyczyni się jasne pojęcie następstw z zepsucia jej wynikających. I otóż nowy dowód jak naukowe wykształcenie matkom jest potrzebne; nie powierzchowne, błyszczące, ubogacone samemi wiadomościami naukowemi, ale gruntowne, nadające myśli giętkość działania, znajdującego prawdę, której umysł prosty nawet się nie domyśla.

Pragniemy zatem aby dziecię nasze w przyszłości było dobre i szczęśliwe, jakimże go więc sposobem obdarzymy darami tak pożądanemi?

Rady, nauki trafne, karcenie wszelkich przekroczeń dziecka, bronienie od złego a skłanianie do dobrego, wielce się do tego przyczynić może, ale jeszcze nie wyczerpują wszelkich środków w możności naszych zostających. W rodzinach ubogich prostaczków, prze-

chowujących jakby tradycyonalnie poczciwość i zacność z ojca na synów z matki na córki spływających, o szafowanie słów moralizujących trudno. Nie ma na to ani czasu przy ciągłej pracy, ani umiejętności wyrozumowania dla czego złe jest złem a dobre dobrem, ani wreszcie dokładnego pojęcia jak wychowanie prowadzić należy, aby było dobrem i zapewniło dziecku szczęście. Owszem przeciwnie, słowa rozwagi skąpo w rodzinach takich są wymawiane, a jeżeli się wymkną, mają na sobie cechę prostego połajania, zakazu, bez wyjaśnienia zwykle przyczyny, dla czego czegoś robić nie trzeba, albo robić tak a nie inaczej.

Zkądże więc dziecko czerpie zasoby do tych przymiotów tradycyonalnie w rodzinach takich utrzymujących się?

Naturze samej nie można tego wyłącznie przypisywać: daje ona warunki przychylniejsze do utrwalenia tych przymiotów, ale nie jest jedynym powodem że wychowanie dziecka nie zostało spaczonem.

Gdyby naturalne usposobienia wszystkiem tu były, piecza tak mozolna, zwracająca powszechną uwagę, prace myślicieli w jej teorytycznem określeniu podjęte, nie byłyby potrzebne. Wola w człowieku byłaby zabita, i człowiek byłby złym lub dobrym, szczęśliwym lub nieszczęśliwym, bez zasługi i winy, bo został takim jakim musiał.

W braku więc słowa wyrozumowanego, przestrogi wyjaśnionej, działa tu przykład dobry, jakim rodzina takich prostaczków wychowańca swego obdarza.

On-to zastępuje największą wymowę, on uczy praktycznie, jak zostać dobrym i szczęśliwym, i stając się niejako atmosferą którą dziecko napawając się rozwija, robi je przechowawcą cnót rodzinnego ogniska. Nie mają one wprawdzie tego wydelikatnienia, tego szerokiego rozwoju jaki czyni człowieka prawdziwie dobrym obywatelem kraju, ale w zakresie działalności tak wychowanego, są mu wystarczające i pod względem społecznym wielce dogodne.

O ileż więc dobry przykład, poparty rozumnem słowem, staje się potężniejszym środkiem dobrego wychowania człowieka, jeżeli już sam przez siebie tyle dobrego działa!

Pragnąc zatem żeby dzieci nasze były dobremi i szczęśliwemi, przedewszystkiem musimy niemi być sami, bo inaczej słowo choćby najrozumniejsze stanie się martwem, rada najzbawienniejsza próżnym słów brzękiem, zakaz niczem, prostem nudzeniem i mantyctwem. Nie przypuszczajmy bowiem, że dziecięcej uwagi uchodzi to, co zdaje się być nad jego pojęcie. Ciekawie patrząc po świecie, równie bacznie śledzi postępki swych rodziców, milczy ale uważa, chwyta, co więcej uderza jego wyobraźnią i pamięta i z tych szczegółów wsiąkniętych w siebie, pojętych wedle swej nieświadomości dziecięcej, własne złe skłonności kształci a dobre paczy.

Wprawdzie być dobrym i szczęśliwym w najrozleglejszem tego słowa znaczeniu, są to dotąd, ogólnie uważając, ideały, do jakich ludzkość pnąc się od tysięcy lat dojść jeszcze nie może, zawsze jednak każde usiłowanie w tym kierunku podjęte, zbliża nas do nich, a każdy tu krok naprzód zrobiony, daje owoce niezmiernego pożytku. Wspominamy o tem, gdyż własne doskonalenie się tak jest splecione z dobrem wychowaniem dzieci, że rozdział tu niepodobny.

Dobry zatem przykład, jest drugim obowiązkiem wychowujących dzieci: wykształcenie umysłowe dozwala trafniej rozpoznawać naturalne ich usposobienie, wyszukiwać drogi do jego uprawy, usuwać przeszkody, wreszcie wpływać zbawiennie rozumnem słowem na rozwój myśli dziecka i pojęć moralnych: dobry przykład wszystkie te starania utwierdza, pokazując praktycznie jak słowo rady w czynie wygląda. Gdzie nie ma tego zespolenia słowa z czynem, tam dzieci nie mogą być dobrze wychowane, i jeżeli nie wywrze to na nie złych następstw, winne to tylko będą ubocznym względom, przypadkowi lub szczególnie dobremu swemu usposobieniu, na co się spuszczać nie należy.

Któż nie zna potęgi dobrego przykładu, kto nie doświadczył wpływu jego zbawiennego, już nie w dziecinnym świecie ale w rozwoju historycznym całych społeczeństw! Nieraz stawał się on jedyną dźwignią w ich niedoli, a często powodem upadku powszechnego, gdy przykład był złym i niegodziwym.

O ileż więc dobry przykład jest silniej działającym w dzieciach. Starać się popierać nim słowo rozumu, to konieczność z obowiązkiem połączona.

STELLA

POWIEŚĆ

PRZEZ

PAULINĘ Z L. WILKOŃSKĄ.

(Dalszy ciąg).

V.

Pod wieczór dnia jednego zebrało się liczne grono gości kąpielowych w wspólnym salonie. Trzy znane nam panienki były fortepianem zajęte, a niemi kilku młodzieńców. Stella siedziała przy oknie, zajęta robotą. Mamy i ojcowie pogrupowali się różnie. Był i stolik preferansowy. A państwo Zebrzyńscy zajęli się ulubioną grą w szachy.

Wtem z przyległych pokoi nadszedł Michał, a z nim jakiś gość nowo przybyły. Nieznajomy liczył już pewnie lat trzydzieści parę, lecz zachował mimo to powierzchowność młodzieńczą. Wzrost jego wysoki odznaczała kształtność postawy całej i niewymuszona elegancia ruchów. Rysy twarzy miał wyraziste, szlachetne, pełne wyrazu, oczy ciemne w pięknej oprawie, ogniste, jakieś dziwne, mowy to namiętnej, to ujmująco łagodnej; wyraziste brwi i wąs były niemal czarne, cera twarzy śniada, nieco bladawa, lecz świeża i czerstwa.

Na wysokim czole, ponad skronią, znaczyła go blizna, z którą wielce do twarzy mu było. Włosy także niemal czarne układały się naturalnie z pewnym wdzięcznym ładem. Ubranie miał zręcznego kroju ale proste.

Panny obejrzały się za nim.

— Kto to?

— Któż on? szeptały. Ale im młodzieńcy będący na służbie, pytania tego rozwiązać nie umieli.

— Pan Michał powie!

Michał zaprowadził nieznajomego do państwa Zebrzyńskich. Przedstawił go, ale nikt nie dosłyszał nazwiska. Ojciec Stelli powstał i uprzejmie podał mu rękę. Toż samo i pani Zebrzyńska słodkim powitała go wyrazem. Piękny brunet powstał i poczuła się chwilowa rozmowa. Potem poprowadził go Michał do Stelli, i natężone uszy dosłyszały teraz wyraźnie:

— Pan Miron Podolewski.

Stella zmięszała się trochę, podniosła się zlekka, i podając rękę, z ujmującym wymówiła wdzękiem:

— Pan już oddawna nie jesteś mi obcym, znamy się z listów pana Edwarda.

— Jakże uszczęśliwia mnie ta pamięć, odrzekł Padalewski głosem nader dźwięcznym. Właśnie mam od pana Edwarda przesełkę dla pani.

— O, dziękuję, dziękuję!

— W paczce jest tomik poezyi Edwarda, które co dopiero opuściły prassę.

— Jakaż to niespodzianka! zerwała obwijkę z angielskiej bibuły i przerzucała stronnice książeczki niedużej, w różowej okładce. Wielka, a miła i droga to niespodzianka! powtórzyła znowu. List przeczytam później, a pan raczej żywem słowem mi opowiedz co tam serdeczny porabia przyjaciel?

— Och, pani! Miron stłumił westchnienie, pragnąłbym pani jak najlepszych wiadomości udzielić...

— A nie możesz pan?

— Pan Edward jest bardzo cierpiącym, ale nie traci pogody ducha i podniosłego umysłu. Dusza jego śpiewa dla wszystkich, bo i serce ogół cały kocha.

— Takim on był zawsze! poszepnęła z rzewnym w głosie oddźwiękiem. Więc nie ma nadziei, ażeby zdrowie wróciło?

Miron smutnie głową pokręcił.

— Dwa lata mieszka już w Interlaken i pewno tęskni za krajem.

— Przecierpiał wiele, bardzo wiele strasznej boleści!..., czy pan znasz jego przeszłość?

Niezupełnie dokładnie, bom zapytywać go nie śmiał, ażeby zbolałej nie rozranić duszy.

— Siostra matki mojej miała córkę, prześliczne dziewczątko! U wód w Szczawnicy poznał ją pan Edward i pokochał. Pozyskał jej wzajemność, matka pochwaliła wybór, i jako narzeczeni do domu wrócili. Następną zimę całą przepędzili u nas. Miałam wtedy lat 17, Zosia ośmnaście skończyła. Była ona dla mnie, jakoby mojem drugiem ja; z panem Edwardem braterska łączyła mnie przyjaźń. W Maju ślub wziąść mieli.... i wszystko dobranej uśmiechało się parze! O mój Boże, mój Boże, jakżeż zawodnem bywa szczęście, o którego pewności roimy!.. Piętnastego kwietnia... dzień wiosenny był przecudny. Wybraliśmy się wszyscy na dalszą przejażdżkę, matki nasze i mój ociec powozem, a my młodzi konno.

Powóz pozostał za nami, a myśmy wśród niw zielonych pokłusowali wesoło. Cudnież było w około, a tak straszliwe czekało nas nieszczęście! Zadrżała na to wspomnienie i umilkła na chwilę. Nie wiadomo, przyczyna nieznana... wierzchowiec Zosi nastraszony czemś, porwał się nagle i w szalonym poniósł ją pędzie. Stelli tchu nie stało. Zosia znać słabo siedziała... spadła z siodła... noga pozostała w strzemieniu... och, pani!... i koń szalony powlókł ją po kamieniach.... po rowach... ukryła twarz pobladłą w dłoniach.

Miron wzrokiem najgłębsze wyrażał współczucie.

— Pan Edward pogonił za nią, jak strzała, mówiła dalej, wieśniacy w polu pracujący przyskoczyli... powstrzymali rozbiegłego konia... Gdym dotarła do nich na wpół żywa z przerażenia, Zosia leżała na ziemi blada, zkrwawiona, Edward klęczał przy niej. Wieśniacy przynieśli wody z blizkiego strumyka. Nadjechał powóz... ale Zosia już nie żyła!...

— Straszny! Okropny wypadek! rzekł Miron.

— Rozpacz matki... narzeczonego!.. Boleść naszą!.. Któżby opowiedział? Pan łatwo pojmiesz, co działo się z nami!

— Wiedziałem, że Edward narzeczoną utracił, ale tych strasznych nie znałem szczegółów.

— Rozpacz jego granic nie miała. Chorował ciężko... i odtąd już zawsze cierpiącym pozostał. Ośm lat upłynęło, a nie zagoiła się rana!

— Zawiozłem właśnie młodego przyjaciela do Interlaken, odezwał się Miron, który tam rok cały ma pozostać, albo i dłużej.

— Ach! to dobrze to, pan Edward będzie miał towarzysza.

— Polubili się też zaraz, bo mój przyjaciel nader jest sympatycznym, a z utworów poetyckich znał już oddawna Edwarda i duszą go pokochał. Jeden stanie się ulgą drugiemu.

W tym czasie panienki obstąpiły Michała, i pytały tajemniczo:

— Mój panie! kto jest ten pan Podolewski?

— Któż jest ten pan Podolewski?

— Obywatel z krakowskiego, odpowiedział przyjaciel poety Edwarda...

— I przywiózł Stellce jego poezye?

— Tylko co wyszły z druku.

— Och, to ślicznie! Będziemy je czytały! Nauczymy się na pamięć! trzepotały się wszystkie trzy na raz.

— Ale po cóż on tu przyjechał? uśmiechnęła się Lorcia znacząco.

— By wyleczyć się z kataru, którego nabawił się zeszłej zimy na polowaniu.

— Długo tu zabawi?

— Dwa tygodnie podobno.

— Dobrze, dobrze! Klasnęła Brynia w dłonie.

— Zawsze grono powiększy się nasze, dodała Lorcia.

— A zapewne pan Padalewski do inteligencyi należy?

— Mówią, że gruntownie wykształcony, odrzekł Michał.

— Czy go nam przedstawisz?

— Dziś jeszcze.

— Jak też wiele z sobą mówią, poszepnęła Lorcia Bryni, rzuciwszy wzrokiem ku oknu.

— Coś mu opowiadała, z takiem wzruszeniem, że aż ze łzami.... i to widząc go raz pierwszy!

— Opowiadała o ciotecznej siostrze, która zabiła się spadłszy z konia, wyjaśniła Klocia, dosłyszawszy ich rozmowy, a była to narzeczona poety Edwarda....

— Biedny! straszny to był wypadek!

— Zaśpiewaj, Klociu! zwróciła się Brynia ku niej.

— Prosimy! pokłonił się Michał.

— Prosimy!

— Bardzo prosimy! powtórzyli zanim i drudzy.

Panienki obległy fortepian, za niemi posunęła się młodzież. Klocia zaśpiewała z pamięci *Kalinę* Komorowskiego, głosikiem miłym ale nieuczonym. Na sali cisza zaległa.

Po skończonym śpiewie, panienki jedna po drugiej grały mazury i skoczne polki.

Miron siedział ciągle przy oknie, naprzeciw Stelli, a rozmowa ich ustała tylko na chwilę, w czasie śpiewu. Opowiadał jej o Interlaken: jak tam urządził się Edward, jakie są jego zajęcia i zwyczaje.

— Widzisz pan to światełko, w oddali na wzgórku, na lewo od tej gruppy drzew ciemnych, w małym domku odstrzeliwającym biało w księżycowym promieniu? zapytała na raz jeden Stella.

— Widzę pani.

— To światełko błyszczy dogasającemu także przyjacielowi, Adamowi Miłosielskiemu.

— Adam Miłosielski, twórca prześlicznych piosenek.

— Tak panie.

— I on umiera?

— Na piersiową chorobę, niestety! Ma lat dwadzieścia jeden dopiero! W duszy jego bezprzestannie cudne dźwięczą melodje. Wyjrzy na świat Boży, piękny jasny, chwyta kartkę papieru i kreśli piosenkę, która co tylko w jego zrodziła się duszy. Będzie z panem rozmawiał, a przytem i wynuci z duszy piosenkę. W samotności izdebki swojej, wieczorem, rankiem, ciągle i zawsze gdyby perły cenne, myśl każda każde uczucie i wrażenie w nim śpiewa. Wczoraj przysłał mi przecudną melodję do poezyi Edwarda:

„ Daj mi skrzydeł, orle!“

— I jest bez ratunku?

— Bez ratunku, mój Boże!...

A jeszcze ma narzeczoną: szesnastoletnie dziewczątko dla której jest złotoskrzydłym gieniuszem.

— Czy jest tutaj?

— Nie. Panienka przy matce pozostała. Pielęgnuje go ciotka, gdyby matka rodzona; listy miewa często od swojej Elci, imię jej Eliza, a on piosenkami jej odpowiada.

— Czy nie zna niebezpiecznej choroby swojej?

— Zdaje mu się, że z dnia na dzień jest lepiej, że za tygodni kilka zdrów będzie zupełnie. A biedak już tylko w południowych godzinach wyjść może przed dom, na słońce. Słaby, wycieńczony... a pogodny, aż niby przejrzysty. Odwiedź go, pan! Zanieś mu poezye Edwarda: będzie to rozkoszą i skarbem dla niego.

— Pójdę jutro zaraz.

— A potem opowiesz mi wszystko o nim. Nie widziałam go już od paru dni.

— Zdam pani sprawę, najsumienniej.

— Odwiedziłam go, odkąd nie wychodzi, z braćmi ciotecznymi... Widok jego sprawił mi ból serca, lubo, że jasny wyraz jego lica, to jakieś jakby nieziemskie światło, dziwnie zaspakaja...

VI.

Nazajutrz z rana, o pół do siódmej, oznajmiła służąca Stelli, że przyszedł pan Wacław i prosi by mógł się z nią zobaczyć.

— Proszę, proszę! zawoła, lecz zmięszała się i serce jej nieznaną uderzyło trwogą, i zkądżeż tak rychło przybył? I cóż się stało?

O siódmej godzinie wychodziła z rodzicami zwykle do źródła, miała więc pół godziny wolnego czasu.

Wszedł Wacław blady, zmieniony, jakby złamany.

— Dzień dobry! wymówiła, biegnąc ku niemu i rękę jego ujęła.

— Dzień dobry, odrzekł głucho.

— Powiedz, co tobie? Cóż się stało? pociągnęła go obok na kanapkę i pobladła z wzruszenia.

— Jechałem noc całą... Wczoraj pod wieczór opuściłem Drezno. Przybyłem tutaj po szóstej. Michasia już nie zastałem.

— Ale powiedz, cóż zaszło? Przerażasz mnie!

— Opowiem krótko, byś zrozumiała stan mojej duszy.

Przybywszy do Drezna dowiedziałem się, że pani Warecka stanęła w hotelu i udałem się tam około czwartej z południa. Przed hotelem stała karetka, lokaj w galonowej liberyi drzwiczki trzymał otwarte, a z bramy wychodził właśnie Telesfor Stalinowski, mój sąsiad...

— Ten stary kawaler?

— Tak.... bogacz, dziedzic Gramolic. Czy widziałaś go kiedy?

— Nigdy.

— Był żurnalowo ubrany.,. w nowej czarnej, lśniącej peruce, z uczernionym wąsem i krótkiemi bokobrodami... uróżowany, wywatowany, chwiejący się na nogach szkieletowych... woniejący z daleka, mumia wstrętna!...

Stella zrozumieć nie mogła, na co był ten opis? W myśli jej powstał chaos, coś przeczuwała strasznego.

— Odwróciłem się, by mnie szanowny pan Telesfor nie zobaczył, bom w tej chwili witać go nie chciał, mówił Wacław dalej. Lokaj wsadził go do karety. Pojechał a ja wbiegłem do hotelu. Wskazano mi mieszkanie pani Wareckiej. W salonie Laurę zastałem samą. Pobiegła ku mnie z wyciągniętemi rękoma, z wyrazem radosnym.... O! dobrze, żeś przybył zawołała, powinnabym cię połajać żeś mnie nie usłuchał i za nami do Drezna pogonił, ale stało się i teraz cieszę się z tego. Miałam dziś telegrafować do ciebie, bo do Źródlisk już nie powrócimy. Usiedliśmy na niskiej kozetce, ona ciągle rękę moję trzymała. Wacławie zagadała po chwili, kocham cię, mój jedyny na świecie Wacławie! A teraz posłuchaj i nie przerywaj, byś dokładnie mógł zrozumieć. Matka moja straciła majątek, jesteśmy zrujnowane. Czy ja pytam o to! zawołałem, mój Stawin przy pracy i oszczędności, jakie z całą sprężystością rozwinę, zapewnią wam wygody życia..!

— Ale my jesteśmy, mówiła dalej, nawykłe do nie odmawiania sobie niczego, zwłaszcza też matka moja!

Poczęły mi się myśli plątać, rzekłem więc znowu:

— Lauro, będę pracował! na niczem zbywać wam nie będzie!

— Dla matki mojej to nie dość, pokręciła głową, nie przeniosłaby także, gdyby Górnopole sprzedanem zostało.., a zagraża subhastacya... Wacławie, ty mi jesteś wszystkiem, jestem twoją sercem, moją duszą całą,.... ale żoną muszę być innego!...

Com na to powiedział, nie wiem, ale wyraz to musiał być straszny, bo porwałem się, jakby piorunem rażony.

— Siadaj i posłuchaj dalej! Jestem zaręczona Telesforowi Stalinowskiemu....

Wybuchnąłem śmiechem szalonym.

— Uspokój się i słuchaj! To jest bogacz! Spłaci długi wszystkie, zapewni życie do jakiego matka moja nawykła, Górnopole ocaleje... Ślub będzie za sześć tygodni Będę sąsiadką twoją! możemy się codziennie widywać!... Odepchnąłem ją, porwałem się z siedzenia i biegłem, niemal bezprzytomny ku drzwiom: tom tylko wiedział, że dłużej pozostać nie mogłem. Zastąpiła mi drogę.

Nie puszczę cię! Nie odejdziesz! stłumionym wołała głosem, Wacławie! Powtarzam, żeś ty mi wszystkiem! Jam twoja sercem i duszą!

— Precz! Wypuść mnie, bo oszaleję! usiłowałem wyrwać się, alem był złamany.

— Wacławie! mój Wacławie! Mój, mój jedyny. Matka nadchodzi, zapanuj nad sobą!

Pani Warecka nadeszła z miłym uśmiechem i powitała uściśniem ręki.

— Pan Wacław tylko co przybył, ozwała się Laura, strudzony podróżą, przybiegł jednak zaraz zobaczyć co porabiamy. Powinszował mi właśnie.

— Siadaj pan! rzekła matka.

— Pani zdobyłem się wreszcie na słów parę, odjeżdżam za chwilę.

— Dokądże?

— Pan Wacław jedzie do Cieplic, przyjaciela odwiedzić, odrzekła Laura.

—Będziecie z Laurą sąsiadami, jak słyszę blizkiem i sąsiadami, wymówiła znowu pani Warecka; ale, ale zapomniałam, Laurko! Złotnik jest w moim pokoju: pan Telesfor przysłał parę brylantowych garniturów do wyboru ..

Pokłoniłem się i jak szalony wybiegłem. Pędziłem przez ulice bez celu, bez myśli...

— Och, żal mi ciebie, Wacławie! zawołała Stella. Wacław spojrzał na zegarek.

— Siódma! Bywaj zdrowa, siostro!.. Rodzicom powiedz o mnie co zechcesz. Widzieć ich nie mogę... Stello! błagam, oszczędzaj ją!

— Bądź tego pewnym!. Nie mogłabym nikomu takiej strasznej wypowiedzieć prawdy.

— Bywaj mi więc zdrowa!

Stella bolejąca na krzesło upadła, żal jej było biednego Wacława.

Weszła pani Zebrzyńska.

— Cóż to? zapytała zdaje mi się że tu był Wacław.

— Był, mateczko najdroższa. Zastał Laurę jako narzeczoną Telesfora Stalinowskiego... i zrozpaczony odjechał.

— Biedny, biedny! Ale gdzież jest?

— Odjeżdża w tej chwili i wraca do Stawina, by oddać się zajęciu i pracy, by zapomnieć.

— Nie zapomni tak prędko! westchnęła pani Zebrzyńska, będzie musiał przeboleć. Ależ zdrowa to myśl, że pragnie zajęcia i pracy i najlepsze to lekarstwo, a może i jedyne. Laura nigdy nie byłaby żoną odpowiednią dla niego!...

— Serdecznie mi go żal...

Wszedł pan Zebrzyński.

— O czemże tak radzicie? zapytał. Cóż się stało? Stella jakaś smutna a Wacław, gdzież się podział?

Żona w krótkich wyrazach powtórzyła mu, co posłyszała od córki.

— A, pokiwał głową, to więc to było owo przeczucie?

— Tak jest, ojczulku najdroższy, odrzekła Stella, i na jego ramieniu zawisła.

— Tak, tak, rozumiem boleść, ale niech chłopiec raczej Bogu dziękuje, że panna Laura ze swoich wypuściła go sideł. Patrzyłem się z boku na wszystko i panna wydawała mi się doskonałą aktorką, a biedny chłopiec ofiarą. At, stało się dobrze. Amen! A teraz chodźcie do źródła.

Przy źródle spotkali Mirona i Michała, ostatni przystąpił nieco pomięszany do Stelli.

— Wacław wrócił i już znowu odjechał, rzekł z cicha.

— Był u mnie; i opowiedziała mu krótko wszystko co zaszło.

Poranek był piękny, zeszło się więc całe kąpielowe towarzystwo, przybyłych otoczyli znajomi, panny uczepiły się Stelli, co jej wielce było nieprzyjemnem dla tego odmówiła wezwaniu, by po kawie zejść się w salonie.

Pan Zebrzyński, wziąwszy Mirona pod rękę, powiedział że dalszą odbędą przechadzkę.

Była już niemal obiadowa pora, gdy ojciec Stelli powrócił nareszcie; był w dziwnie dobrym humorze, bo pod nosem nucił sobie jakąś piosenkę.

— Musieliście chodzić gdzieś bardzo daleko, odezwała się do niego żona, kiedyście tak długo na przechadce bawili.

— Pierwszy to raz było przecie z kim pomówić, odrzekł. Stella rozmawiała z kim wczoraj, ja dzisiaj, i rzekłszy to uśmiechnął się.

— Mówiliśmy, o Edwardzie, o Zosi....

— Dajcie pokój tem smutnym wspomnieniom!

Stella umilkła i nad robotą pochyliła głowę.

Ojciec przystąpił do niej, pogłaskał ją po licu, i w czoło pocałował.

— Jestem dziś w szczególnie dobrem usposobieniu, wyrzekł, nie chciałbym zatem przypomnień bolesnych. Cieszę się że Wacław ocalał, i poznałem zacnego, rozumnego człowieka.

W tej chwili wszedł służący i rzekł oznajmiając.

— Pan Padalewski.

Po chwili Miron wszedł do salonu.

Pod wieczór, jak zwykle, zapełnił się salon zbiorowy. Służba zapaliła światło. Stella grała mazury Szopena, to też gwar rozmów ucichł na chwilę.

— Padalewskiego jeszcze nie ma, poszepnęła Lorcia do Bryni.

— Nie ma interesującego Mirona! westchnęła żartobliwie tamta.

Klocia położyła palec na ustach. Umilkły.

Po chwili wsunął się Miron z przyległego pokoju: znać przyszedł co tylko i z kapeluszem w ręku usiadł przy drzwiach. Panny spojrzały po sobie.

(d. c. n.)

KILKA UWAG

O BELETRYSTYCE NIEMIECKIEJ

przez **P. W.**

Powieść niemiecka, mówimy tu oczywiście tylko o pierwszorzędnych autorach, bywa wykończoną i czyta się z zajęciem, nie przystaje wszakże do społeczności naszej. Ma coś odrębnego a niewłaściwego dla nas, gdy angielską tylko polecać można. Nadto, często dzisiejsi autorowie niemieccy, gdy nadarzy się sposobność, są zbyt pochopnymi do potrącenia o nas rażąco niesprawiedliwie. Dawniejsi przed laty trzydziestu, zapatrywali się inaczej.

W Niemczech powieściopisarze mają do swoich opowiadań o wiele obfitsze od nas pole. Wspomnimy tu o jednem to jest: o dworach udzielnych książąt. A ciekawy i zajmującyto przedmiot. Ileż to na nim malują intryg, plotek, mamy właśnie pod ręką romans znanego i u nas Hansa Wachenhusena p. t. *Damy dworu jej wysokości*, wyszły w r. 1874, któremu nie możemy odmówić talentu, a romans przez cztery grube ciągnie się tomy, obraca się jedynie na dworze jednego z małych książąt niemieckich. W jakimże to świetle przedstawia nam autor owe damy dworskie i dwór cały, obok oddanej dewocyi księżnie. Przytoczymy tu z powieści fakt jeden mały, ale charakterystyczny i zabawny. Książe panujący lat przeszło 60. Ma on romans z młodą i arcypiękną damą dworu panną Kamillą v. Trebnitz, która nadto w gorąco-miłosnych stosunkach zostaje z pięknym i świetnym kammerjunkrem hr. v. Szelling, człowiekiem niecnym aż do szpiku, a jednak zostającym w wielkich łaskach u księcia i księżny. Księżna sama arcy-dumna, chłodna i naprężona, arcy-pobożna i przestrzegająca moralności ma rozłożoną w buduarze swoim zawsze otwartą biblię na mozajkowym stoliku, z tem wszystkim daje dowody wielkiej oschłości serca. W teatrze nadwornym przedstawiono nowy balet: *Die Libellen.* Była na nim księżna, dwór cały i arystokracya stolicy. Gdy w tem one *Libelle* podobno rodzaj wodnych nimf, ukazują się w samych jedynie trykotach. Księżna z oburzeniem opuszcza lożę, za nią dwór i towarzystwo wysokie. Pomiędzy widzami powstała wrzawa i musiano zasłonę spuścić bez dokończenia baletu. Dnia następnego dwudziestoletni następca tronu, kazał sobie do pałacyku letniego o pół mili od miasta, przywieść balet cały, by dokończył *Libelle* przerwane. Zaprosił na to artystyczne przedstawienie oficerów z pierwszych rodzin i junkrów kilku. Balet był świetny a następnie uczta bachancka. Ale, niestety, nazajutrz zaraz ukazał się artykuł o tej orgii w dzienniku demokratycznym stolicy: *Das Tageblatt!*

Książe, przeczytawszy go, rozgniewał się tak niezmiernie, że kępka włosów po nad czołem w nieustającem była poruszeniu. Skutkiem tego dyrektor teatru, p. Selfisch, otrzymał bezzwłocznie dymisyą, a że biedak nie zawinił w niczem, w rozpaczliwą popadł żałość i to więcej z powodu niełaski, aniżeli z utraty posady. Miał on dom ładny na przedmieściu, z ogrodem dość obszernym, w którym i oficynka była. W domu mieszkała pani v. Trebnitz, a córka jej, owa piękna Kamilla, odwiedzała ją często; tutaj to przyjmowała miłosne odwiedziny świetnego Kammerjunkra w skrytości, a w tajemnicy łaskawe odwiedziny księcia. Po kilku miesiącach, przeniósł się przybity niełaską exdyrektor do swojej oficynki w ogrodzie, i cichuteńkiemu oddał się życiu. Dnia jednego, znowu zjawia się w niegodziwem piśmie *Das Tageblatt* artykuł, zawierający wiadomość, że książe w łaskawości swojej nieprzebranej, raczył b. dyrektora p. Selfisch odwiedzić w mieszkaniu jego razy parę wieczorem, co dowodzi, że go do swoich względów przywrócił i zapewne zdolnemu mężowi znowu dyrekcyę teatrów powierzy. Artykuł ten podał jakiś litościwy przyjaciel exdyrektora, świadomy stosunku księcia z piękną damą dworu. Biedny Selfisch nic jednak o tem nie wiedział, i dnia tegoż, gdy ów numer *Tageblattu* wyszedł, pospacerował sobie jak najskromniej do miasta. I otóż wszyscy zapomnianemu dotąd kłaniają się nizko a bliżej znajomi witają, winszują, mówią o wysokiej łasce, o odwiedzinach księcia, które go wynoszą na szczyt szczęśliwości i honorów! Exdyrektor ów zdumiał, nic nie rozumiejąc, nic nie pojmując aż wreszcie *Tageblatt* przeczytał, i struchlał widząc już w duchu, że go niebawem srogi wyrok za zbrodnię majestatu dosięgnie! Tymczasem piękna Kamilla kurczów dostała, bo jej chodziło o Kammerjunkra. A książe o mało że się nie zapamiętał; wybuchy gniewu jego na pismo przeklęte były straszne, groźby okrutne..... ale, w końcu pan Selfisch został na nowo mianowany dyrektorem teatru, wraz z podwyższeniem mu pensyi. Nadto książe z uśmiechem nadmienił: że razy parę umyślnie *incognito*, zaszedł na przedmieście, by poczciwego Selfischa poszukać.

Do wybornych na tem tle sztuk dramatycznych należy komedya Hackländer'a: *Der geheime Agent*, *Ajent Tajny*, w pięciu aktach. Sztuka ta znajduje się w polskim tłomaczeniu w repertuarze poznańskiego teatru i ujrzymy ją zapewne w przyszłym sezonie na scenie. Prawdopodobnie już w nowym teatrze.

Przed laty kilkoma umieściło jedno z pism warszawskich podobno *Tygodnik illustrowany*, powieść Wołodego Skiby: *Kwiat z Sumatry*. Niedawno wpadł nam w rękę romans. *Die Blume von Sumatra von Lucian Herbert*, wyszły w Lipsku 1873 r. Przeczytaliśmy go zachęceni tytułem, tak wyszukanym, a który dziwnym trafem powieściopisarz Polak i Niemiec romansista swoim nadali utworom. Jedno i drugi nie ma żadnego z sobą podobieństwa. W powieści *Kwiat z Sumatry* odgrywa rolę, kwiat rzeczywisty, przywieziony z Sumatry, i w romansie niemieckim, *Kwiatem z Sumatry* jest córka misyonarza Herrnauta. L. Herbert zaliczonym jest w Niemczech do lepszych romansistów, czego jednak w tym romansie nie dopatrzyliśmy się wcale. Tytuł nawet jest aż nadto naciągany, bo córka Herrnhuta małą tam gra rolę, jest tam z piętnaście romansików, a imię każdej z owych bohaterek mogłoby tak samo posłużyć na tytuł. Rzecz napisana z pretensyą zainteresowania, ale interes pozostaje słabym.

Przed laty podobno dwudziestu, wypuścił Gustaw Freitag, uznany za jednego z najgenialniejszych pisarzy w Niemczech, głośny i rozchwytany w kilkunastu wydaniach romans: *Sool und haben.* Wspominano o nim, i wspominają jeszcze w korrespondencyach i recenzyach różnych pism naszych, bo obydnie, bez najmniejszej świadomości rzeczy, opisał w nim stosunki nasze, obyczaje, zwyczaje, tak dalece ze złą wolą, że nawet i ziemię bezurodzajną przedstawił. Rzecz rozpoczyna się w miasteczku pogranicznem Ostrowo, które przezwał *Ostrau;* potem toczy się domysłowo we Wrocławiu; następnie przenosi ją do Krakowa, także nie wymieniając nazwiska. Dalej na wieś do księstwa, znowu bez oznaczenia okolicy. *Licentia poetica* ma wprawdzie swoje prawa, ale w romansie *Soll und haben* granicę przechodzi.

W zeszłym roku wydał Gustaw Freitag rozgłośny na całe Niemcy romans: *Die Ahnen* czyli raczej część pierwszą tegoż; *Ingo und Igraban* z dwóch dużych oddzielnych złożoną powieści, z których *Ingo* dzieje się w r. 357; a *Igraban* w r. 724. Historya to jednej rodziny, którą autor zamierza przeprowadzić w szeregu opowiadań aż do naszych czasów, bo ostat-

ni potomek *Inga* przechadza się w tej chwili właśnie pod niemieckiem niebem.

Powieść ta, przedstawiająca rzeczy ładniej przez poetę aniżeli przez historyka pojęte, budzi tylko tę ciekawość jak też autor wywiąże się ze swego zadania, zresztą jest nudną, jeśli szczerą mam wyznać prawdę. Postać *Inga*, bohatera, syna królewskiego, pozbawionego ojcowizny, odmalował nam autor pełną mocy i wytrwania, piękna Irmgarda, kochanka jego, budzi interes, bo obok siły pierwszych niewiast i poczucia godności, nie jest wdzięku niewieściego pozbawioną. Królowa *Gizela*, piękna i energiczna, rozpustnicą. Rada ze śmierci w boju małżonka, króla *Bisino*, usiłuje wydrzeć *Inga* żonie jego *Irmgardzie*, i podaje mu swój płaszcz królewski, który *Ingo* rzuca a dotrzymuje wiary małżonce ukochanej. Królowa *Gizela* mściwie nachodzi z wojskiem siedzibą *Inga*. Następuje krwawa walka; *Ingo i Irmgarda* giną w płomieniach, lecz ocalał ich synek, uniesiony zdala szczęśliwie przez wierną *Fridę*, by pokolenie jego p. Freitagowi nowych dostarczyło bohaterów.

Ingraban, poganin jeszcze w r. 724, jest więc potomkiem *Inga*. W tej drugiej części romansu chrześcianizm już przeważny wpływ wywiera. Nakazującej powagi jest postać biskupa *Winfrid'a*, a nadzwyczaj sympatyczną, bo anielsko-czystą, młodego kapłana *Gottfried'a*.

Mnóstwo tu opisów ciągłych bojów z Serbami, (Wendami dzisiejszymi) przedstawionymi jako lud zdradziecki i dziki. Sławianie to! Tutaj już zatem, odzywa się tendencyjność autora. W opowiadaniu tem pełno walk i poświęceń, namaszczonych chrześciańskiem uczuciem. *Walpurga*, dziewica chrześciańska, zamierza porzucić siedzibę bezpieczną pod bokiem zacnego, bogobojnego biskupa *Winfried'a*, biedz w dzikie lasy i puszcze, by nieszczęsnego narzeczonego, *Ingraban'a*, który występnie i zuchwale targnął się był na biskupa, ocalić i nawrócić. Winfried napomina ją z gniewem, by do *Ingraban'a* nie chodziła, ale dziewica odpowiada: „Dotąd byłam niedostępną i zimną dla wszystkich młodzieńców; dla niego również nie przełamałam nigdy skromności, alež on dziś wolność i życie swoje dla mnie na szwank wystawił. Wiem o tem, mój ojcze, że dopuścił się wielkiego występku, i wyrzucałam mu to w ostrych wyrazach, lecz dzisiaj żałuję tego nawet, bo to z przyczyny mojej popadł w nędzę i niedolę. Zatem pójdę do niego, by nieszczęście jego złagodzić, podać mu ratunek i zbawienie."

— A gdybym ci pójść zakazał? pyta biskup gniewnie.

— To i wtedy pójśćbym musiała, mój ojcze, odpowiada dziewica z cicha, rzucając się przed nim na kolana, złe duchy okrążyły go i duszę jego przytłaczają, spieszyć muszę by go ocalić.

Pobiegła. Znalazła go na puszczy, w nędzy, wśród dzikich zwierząt, pognębionego goryczą i boleścią. Poświęcenie jej i słowa pełne namaszczenia złagodziły dziką jego duszę.

Piękną jest scena pomiędzy biskupem a młodym kapłanem *Gottfriede'm*, który bólem tajonym złamany, z błagalnym wyrazem podaje mu stułę, klęka i ze stułą głęboką spowiedź odbywa; a domyślamy się, że serce młodzieńcze przeczystem dla Walpurgi rozgorzało uczuciem. Po spowiedzi młody kapłan położył głowę na kolanach biskupa, ten pochylił się nad nim i przycisnął gorące jego czoło do piersi, z równą boleścią, jaka przejmowała młodego.

Nastąpiły nowe walki *Ingraban'a* i plemienników jego z Serbami. Już Ratiz, wódz ich, w krwawym, boju miał bronią morderczą roztrzaskać głowę *Ingraban'a*, powalonego o ziemię, gdy w tem rozległ się krzyk boleśnej, straszliwej trwogi niewieściej. *Gottfried* głos poznał, rozwarł szeroko ramiona, zasłonił sobą *Ingraban'a*, pałka okrutna całą siłą w jego uderzyła czaszkę i bez wydania jęku padł trupem obok narzeczonego Walpurgi.

W dalszym toku walki Jngraban trupem położył *Ratiza*. Na widok zgładzonego wroga, który zabił *Gottfrieda*, dusza biskupa *Winfrieda* zadrgnęła chwilowo, lecz zaraz ś. nauka Chrystusa nienawistne stłumiła uczucie i wyrzekł głucho: Pan powiedział: Miłujcie wrogów waszych i czyńcie dobrze, tym, którzy was obrażają! I wtedy to obecny temu Ingraban z uniesieniem zawołał:

— Teraz uznaję, że zaprawdę postępujesz wedle nakazu wielkiego Boga, jakkolwiek gorzko tobie i ciężko. I ja uwierzyłem w Boga tego młodzieńca, który umarł dla mnie, lubom jego był wrogiem, a miłość taka bohaterstwem jest ziemi.

— Poczem odsłonił twarz zmarłego, pocałował jego usta i siedział przy nim, ukrywszy lice swoje w dłoniach.

— Przy ołtarzu Pana jest przystań zbawienia i spokój dla duszy, ozwał się do niego biskup. *Meginhardzie*, unieś krzyż ś. nad głową tego młodziana i zaprowadź go do chaty swojej.

— Pozwól, ojcze, prosił *Ingabran*, niechaj pozostanę, dopóki ciało jego tu leży, bo w nim znalazłem towarzysza ziemskiej mojej podróży.

Ingraban w skutek słów wymownych *Walpurgi*, spalił talizman pogański, głowę smoka, darowany przodkom jego przez wieszczkę. Zgorzała pospołu z datkiem zło niosącym i zagroda jego, a w miejscu jej stanął kościół, z którego wieżyczki rozlegał się daleko dzwon chrześcijański.

Ingraban odtąd *Ingram* poślubił *Walpurgę* i dzielnych miał synów.

W boju z poganami, gdy przemoc obskoczyła *Winfried'*, *Ingram* wymówiwszy imię: *Gottfried'a* rozkrzyżował się przed nim, zasłaniając go sobą„ i cios śmiertelny odebrał. Lecz poległ i biskup, wielu księży i laików, a mała tylko liczba ocalała chrześcian, by rozgłosić śmierć bohaterów oddanych Bogu.

Pamiętnemi są słowa *Ingraban'a*, które wyrzekł do najeźdźcy:

— Sława temu, zawołał Ratiz, kto kraje, zwycięzko zagarnia.

— Raczej temu, odrzekł *Ingraban*, który tego nie dopuszcza.

Notujemy także wyrazy biskupa *Winfried'a*: Doświadczyłem przez lat wiele, że święta nauka nie zaraz przemieni ludzkie myśli i dążenia, i że wiek niejeden upłynie, zanim Chrześcijanie zrozumieją wielkie słowa miłości i miłosierdzia.

Romans ten zadedykował p. Freitag następczyni tronu pruskiego.

SZKIC

LITERATURY ROSSYJSKIEJ

Z OSTATNICH LAT DWUDZIESTU.

(Ustęp z dzieła Konstantego Petrow p. t. Obraz literatury rossyjskiej.)

(Dalszy ciąg.)

Odebrawszy tak zwane *dystyngowane* wychowanie, nauczyła się ulegać ślepo formułkom wielko-światowym, według których godność osobista zasadza się na tłumieniu w samym zarodzie wszelkich uczuć i porywów serca. Daremnie Rajski pragnął je przekształcić, ożywić i odrodzić, chcąc przelać w nią swój ogień i zapał do sztuki: kto raz stał się lalką salonową, nie wraca do życia.

W części drugiej, scena nie odbywa się już w zimnej atmosferze arystokratycznych salonów stolicy, ale po nad pięknemi wybrzeżami Wołgi, wśród uroczej ciszy i spokoju życia wiejskiego, u poczciwej staruszki, babki Rajskiego, gdzie także spotykamy dwie jej wnuczki, Martynę i Wiarę, obie w kwiecie młodości. Tu autor stworzył dwa prześliczne typy, pełne wdzięku i prawdy. Obok spokojnej i dziewiczej Martynki i siostry jej Wiary, brunetki z pałącemi oczyma i gwałtownym charakterem oraz poważnej, sędziwej babki, autor zapoznaje nas jeszcze z profesorem Kozłowem, zapalonym wielbicielem Greków, i Rzymian, szalenie zakochanym w żonie która mu się przeniewierza, oraz z Markiem Wołokow, młodym socialistą, przejętym ultra-krańcowemi pojęciami, zdradzającym dzikie zachciewki i żądze: osobistość ta zostaje pod nadzorem policyi tajnej.

Powabna Wiara zakochana jest w Wołokowie, który jak się to okazuje w dalszym ciągu powieści, jest nikczemnym samolubem, który czasowo tylko kochać może, i ucieka zawczasu aby nie brać na swoje barki kłopotów gospodarskich, i nie dźwigać ciężaru jakim jest żona i dzieci. Wiara nie umie oprzeć się jego miłosnym naleganiom, prędko jednak podnosi się z upadku, poznaje jak wielka odległość dzieli szlachetne jej pojęcia od zwierzęcej miłości samolubnego kochanka, dla którego najgłębszą uczuwa pogardę. Szuka pociechy w żalu i pokucie oraz w niezachwianem przywiązaniu dobrej babki, która przez przesadzoną delikatność i skrupuły sumienia, po części sobie przypisuje jej winę i razem z nią boleje że stała się ofiarą przewrotnych zasad.

Trzecim z kolei autorem, który zamierzył sobie odtwarzać typy wzięte z młodej togoczesnéj generacyi, jest Pisemski. Stoi on niżej od Turgeniewa pod względem subtelności analizy psychologicznej, i nie tak artystycznie jak Gonczarów wykończa szczegóły, umie jednak żywemi barwami i dosadnemi rysami oddawać współczesne życie rosyjskie, a niekiedy nawet tworzy dla swoich osób powieściowych bardzo wzruszaające i dramatyczne położenia.

Jego romans *Wzburzone morze* przedstawia nihilizm w samym początku jego rozwoju, kiedy ze sfery abstrakcyjnych teoryj, przenosił się do rzeczywistego świata. Pisemski znający życie rosyjskie we wszelkich jego objawach, wykrawa śmiałemi nożycami wyborne typy tych rycerzy negacyi, nie troszcząc się o zbyt drobiazgowy rozbiór wewnętrznych poruszeń ich duszy, ale przedstawiając ich w nader komicznych i wstrętnych położeniach.

Bohater powieści, Baklanów, jest jedną z najudatniejszych postaci w nowem piśmiennictwie rosyjskiem Nie zdolny do poważnej pracy, bez charakteru i wytrwałości, lubi korzystać ze wszystkiego co mu łatwo przychodzi, używać życia i rozkoszować się w próżniactwie. Probuje coraz nowych zawodów, ale że powodzenie nie przychodzi na pierwszym zaraz kroku, zniechęca się i porzuca je z kolei.

Gdy nareszcie nihilizm przeszedł na grunt praktyczny, pojawili się romansopisarze, którzy wzięli sobie za zadanie wykazać szkodliwość jego tendencyj, ale większość ich kreślili raczej karykatury, niżeli portrety młodej generacji i nie krytykowali jej, ale raczej potwarzali. Rozgłos jaki pozyskały ich dzieła temu jedynie przypisać należy, że wychodziły na dobie i traktowały kwestje zajmujące ogół, przedstawiając je zbyt śmiałym kolorytem, jak to ma miejsce w powieściach: *Marewo* Klucznikow'a, *Nigdzie* Stebińskiego i *Trzoda Panurga* Krestowskiego.

Do tegoż okresu piśmiennictwa należy Dostojewski, znakomity pisarz, znany z talentu wybornego analizowania chorobliwych objawów duszy; w romansie swoim, *Zbrodnia i kara*, odmalował z głęboką znajomością traktowanego przedmiotu, walkę niezbędnych potrzeb rzeczywistego życia z doktrynami nihilistów, które nareszcie pokonywa.

W powieści tej, odosobnienie i wpływ złych książek, rozwinęły w charakterze Roskolnikowa przesadzoną miłość własną, zazdrość i nienawiść ku bliźnim, a nareszcie zamiar spełnienia zbrodni. Zabija więc pożyczającą na zastawy; lecz niebawem duszę jego straszne ogarniają męczarnie, obawa kary i przerażenie gwałtowne, na samą myśl, że skalany zbrodnią żyć będzie wśród ludzi czystych i niewinnych, z nieustanną myślą o popełnionej zbrodni. Nader zajmujący i palącego interesu jest między innemi opis widzenia się zbrodniarza z matką i siostrą, i wyznania jakie czyni Socji, dziewicy którą ukochał. Tu talent autora jaśnieje w całej pełni.

(D. c. n.)

Korespondencya zagraniczna.

(Dalszy ciąg.)

Madryt, w Maju 1874 r.

To też nie sam tylko rząd zwracał baczną uwagę na te ważne kwestye, codzień groźniejsze w kraju, gdzie, jak wszędzie dziś zresztą, praca rolna zostaje zaniedbywaną dla przemysłu miejskiego, a bogaci właściciele ziemscy, zamiast wzorem przodków żyć wspaniale w swych posiadłościach, przenoszą się do miast, aby tam wieść życie próżniacze lub co najwięcej marnować je na spiski i intrygi polityczne. Z drugiej strony, tak akademie jak przezorni myśliciele, zaczęli niepokoić się zbyt trudnemi obowiązkami jakie społeczeństwo wzięło na swoje barki, przywłaszczając sobie wszystkie prawa, i zaczęto przemyśliwać nad tem: co czynić należy aby nie okazać że nie zdoła zastąpić tego co obaliło.

Przed kilku laty, nowo założona w Madrycie Akademia nauk moralnych i umiejętności, ogłosiła kilkomiesięczny konkurs do rozwiązania następujących kwestyi:

— Określić charakter dobroczynności, filantropii i miłosierdzia.

— Oznaczyć łączące je stosunki i dzielące je różnice.

— Wykazać, jakim sposobem można by je połączyć w wspólnem działaniu, i przyczynić się skutecznie do dobra ludzkości.

W sześć miesięcy później nadesłano Akademii kilka rękopismów, z których jeden już zaraz samem godłem wypisanem na kopercie, zwrócił jej uwagę:

„Dobroczynność posela choremu mary—filantropia zbliża się do niego, miłosierdzie podaje mu rękę."

Sam rękopism nie zawiódł oczekiwań jakie obudziło to oryginalne i zwięzłe określenie zadanego tematu. Czytające nadesłany rękopism, Akademicy przekonywali się na każdej niemal stronicy o gruntownej nauce i rozległej erudycyi piszącego, o jego doskonałej znajomości przedmiotu, wzniosłych poglądach nacechowanych zasadami prawdziwie chrześcijańskiej filozofji, rzadkiej znajomości serca ludzkiego i nader trafnego pojmowania zasad, na jakich wspierać się powinna administracya dobroczynności publicznej.

Styl był jasny, zwięzły, żywy, zajmujący często oryginalny a zawsze naturalny. Dzięki tylu połączonym przymiotom, autorowi rękopismu jednogłośnie przyznano wyznaczone premium, a nie dość na tem, dziwiono się powszechnie, że Akademia zawiązując się i wybierając swych członków, nie zaprosiła do ich grona tak uczonego ekonomisty, tak znakomitego pisarza i moralisty. Ale jakież było zdziwienie osób obecnych na posiedzeniu, gdy po rozdarciu koperty pokazało się że nazwisko laureata jest obcem dla wszystkich. Prezydujący przeczytał wyraźnie: Garcia Carrasco! Nikt nie wiedział co to za jeden, nikt nazwiska tego nie czytał na okładce żadnej książki, w żadnem piśmie periodycznem, nie widział tego podpisu pod żadnym artykułem. Długi czas nic się nie mogli dowiedzieć, gdy wtem nadszedł list pod adresem Akademii, który większe jeszcze wywołał zadziwienie, większego nabawił kłopotu. Na liście był podpis kobiety, donny Conception Avenal de Garcia Carrasco.

Donna Carrasco pisała: że dowiedziawszy się o postanowieniu Akademii przyznającem pierwszą nagrodę, uważa sobie za obowiązek wyznać, że ona to sama jest autorką uwieńczonego rękopismu, który przez miłość dla syna, jego podpisała imieniem; lecz ponieważ chłopczyna ten ma dopiero lat ośm i niktby nie mógł uwierzyć że napisał podobny artykuł, zatem z całą pokorą przyznaje się do winy, i z góry zgadza się na wszystko co Akademia postanowi.

Akademia wpadała z podziwienia w podziwienie. Jakto! więc ten traktat tak poważny, w którym tak pewną ręką rzucono podstawy rozległego systemu, w którym tak wymownie i śmiało wykazywano wady, próżnie, i niebezpieczeństwa praw obowiązujących i istniejących zakładów, w którym z taką siłą uczucia domagano się, aby bezpotrzebnie nie krępować działalności indywidualnej i w urządzeniu dobroczynności publicznej szerokie pole działalności wyznaczyć kobietom, wszystko to obmyśliła, przedstawiła i napisała kobieta? Lecz czyż podobna, aby tak wielki talent, tak gruntowna nauka, mogły tak długo ukrywać się nieznane? a to tem więcej, iż pomimo gorącego zapału wiejącego z każdej karty, nic nie zdradzało niedoświadczenia i sprzeczności cechujących zazwyczaj młode, niewprawne pióro. Nic dziwnego, żeby kobieta mogła wyrobić w swem sercu tak czystą i praktyczną zarazem moralność, alеż skąd mogła się zdobyć na tak silną i zdrową logikę, na ten styl tak jasny i przekonywający, a zarazem tak wdzięczny i malowniczy? Akademicy byli niemal pewni, że powodem nadesłania tak doskonale opracowanego traktatu, była delikatna i dowcipna zemsta jakiegoś znakomitego pisarza, pragnącego ukarać ich że go pominęli przy wyborach.

Co tu było robić? Oto postąpiono jak w ogóle robią w innych krajach; uchwalono specjalną komissyę. Wyznaczeni do niej członkowie niezwłocznie udali się do miejsca wskazanego w liście, i zastali tam szanowną matkę rodziny, wdowę po adwokacie, a obok niej, bawił się chłopczyna, mniemany autor artykułu. Na pełne uszanowania pytania, donna Conception Avenal de Garcia Carrasco odpowiedziała z prostotą, potwierdzając co napisała w liście. Wyszedłszy od niej, członkowie komissyi zaczęli bliższych zasięgać szczegółów, i dowiedzieli się, że dona Carrasco od lat młodocianych pałała żądzą nauki i wiedzy, i poszedłszy za mąż wyjednała sobie od męża pozwolenie uczęszczania do miejscowego uniwersytetu, a nie chcąc zwracać uwagi, chodząc na kurs przywdziewała ubiór męzki. Tak ukończyła cały kurs nauk, nie zaniedbując bynajmniej obowiązków żony, matki i pani domu.

Po powrocie do Madrytu, komissya zdała sprawę Akademii, która nie zmieniła pierwotnego wyroku i wezwano donnę Carrasco aby raczyła sama przybyć odebrać przyznaną sobie nagrodę.

Premiowana rozprawa została wydrukowana staraniem Akademii; jest-to broszura obejmująca 123 str. in-quarto i dzieli się na dwie części. Pierwszą stanowi krótki rys dziejów dobroczynności w Hiszpanii, w drugiej autorka przystępuje śmiało do rozbioru zadanego tematu, wykazuje zasady i przedstawia warunki w jakich dobroczynność publiczna może korzystnie łączyć się z miłosierdziem prywatnem.

Donna Conception Avenal de Garcia Carrasco posiada ogólny szacunek i jest nader użytecznym członkiem wielu stowarzyszeń dobroczynnych, których urządzenie i kierunek jej powierzone zostały.

Tu jeszcze wspomnieć muszę o dwóch kobietach, które jakkolwiek nie zajmują się naukami, ani literaturą, jednak znane są w całej Hiszpanii, a nazwiska ich każdy wymawia ze czcią i uznaniem. Jedną jest hrabina Mina, wdowa po sławnym partyzancie której jeszcze królowa Izabella powierzyła przewodnictwo nad wszystkiemi zakładami dobroczynnemi w Galicyi. Prowincya ta, tak często trapiona klęską nieurodzaju, bywa narażona na głód, z którego znowu powstają różne epidemie i choroby. Anioł opiekuńczy chorych i biednych, hrabina Mina stawia mężnie czoło tym strasznym klęskom: silną, żarliwą gorliwością i niezachwianą wolą, potrafi wynaleźć środki aby je oddalić lub przynajmniej złagodzić ich skutki. Samo jej ukazanie się w chatce nędzarza lub przy łożu chorego, balsam pociechy wlewa w ich serca i zamarłą budzi nadzieję.

Wicehrabina de Jorbolan sprzedała wszystko co posiadała, aby założyć przytułek pod wezwaniem *M. Maryi P. Opiekunki opuszczonych*, przeznaczony dla tych nieszczęśliwych istot, które nędza, ciemnota lub namiętności, strąciły w otchłań występku! Wicehrabina Jorbolan umiała wyszukać wzniosłe i szlachetne dusze, które zachęcone jej przykładem poświęciły się dozorowaniu i nauczaniu tych nieszczęśliwych upadłych istot. Ani szyderstwa, ani potwarze nie zdołały odwieść tej szlachetnej kobiety od tego dzieła poświęcenia i zaparcia siebie, i dziś wielka jej cnota powszechnie uznaną została, i każdy ze czcią pochyla czoło przed tą świętą kobietą, co tyle dusz zbłąkanych nawróciła na drogę cnoty.

Od kobiet do poezyi, jeden krok tylko, i dla tego przechodzę wprost do poetów i ich utworów. Zaczynam od Don Fernanda de Gabriel y Ruiz de Apodaca, którego poezye właśnie teraz czytałem.

Autor tych poezyj był komendantem artyleryi, kawalerem Alcantara, a w żyłach jego płynie krew jednego z ostatnich wicekrólów Meksyku; sądzę jednak że nie myśli dochodzić; ani dla siebie ani dla swoich potomków, praw do korony, która upadła tak tragicznie, wraz z głową nieszczęśliwego Cesarza Maksymiliana. Może z powodu tego monarszego pochodzenia, don Fernando de Gabriel jest hidalgiem do szpiku kości, ma pojęcia czysto arystokratyczne *w prawdziwem słowa tego znaczeniu* i niebardzo sympatyzuje z demokracyą.

Jeśli kiedyś los lub chęć poznania tej tak mało dotąd znanej krainy, poniosą kogoś z czytelników Tygodnika do Hiszpanji i do Sewilli, niech zajdzie na ulicę San-Vicente; tam, na lewo, ujrzy duży dom odróżniający się od innych elegancką prostotą i piękną ornamentacyą, na którą składa się marmur i kwiaty. Jeśli zapuściwszy oko do wnętrza ujrzy *patio* marmurowe, po nad którem wznosi się piękna statua, i zdjęty ciekawością zapyta przechodniów, kto zamieszkuje to poetyczne ustronie, każdy odpowie od razu: dawny kommendant artyleryi, sławny poeta don Fernando de Gabriel. Jeśli przestąpimy próg tego mieszkania, poznamy szczęśliwą prawdziwie chrześcijańską rodzinę; ojciec, młody jeszcze, twarz nader pociągająca i pełna wyrazu, młoda i piękna żona i dwoje ślicznych dzieciaków. Zasiadłszy w ich rodzinnem kółku, przekonywamy, się że wyżej podany zbiór poezyj jest wiernem jego odbiciem.

Religja, ojczyzna, życie rodzinne nauki i sztuk piękne, wszystko co tylko zajmuje duszę i może szlachetnie zapełnić życie, mieści się na stronnicach tych poezyjj. Wszelkie nowożytne znakomitości Hiszpanji, wszystko cokolwiek przynosi jej chwałę lub chlubę, nie zostało pominięte. Fernando wita prześlicznym wierszem powrót wojsk hiszpańskich z Tetuanu, i ich kulami podziurawioną chorągiew. Dalej gdy Sewilla, spóźniony hołd oddając pamięci genialnego Murilla, uczciła go pomnikiem, Fernando de Gabriel, wzniosłym, ośmio wierszowemi strofami ułożonym wierszem, uwiecznił pamięć wielkiego malarza i uroczystości wzniesienia pomnika.

Tak krytycy jakoteż i wielbiciele poety, do najpiękniejszych ustępów z jego *Poezyj* zaliczają wiersz w którym poeta, dumny ze swego munduru, zaleca koledze swemu, także poecie artylerzyście, aby nie zapominał o tych wszystkich towarzyszach, którzy kiedyś jak oni obaj obecnie, lirę i szpadę trzymali w dłoni. Śliczny jest ten przegląd żołnierzy—poetów, i każdy z nich opisany tak wiernie i trafnie.

Prawdziwy rycerz średnio-wieczny, miłujący kraj swój, jego dawną świetność, sławę i cnoty naddziadów, Fernando de Gabriel dziwnie przykrego doznał wrażenia, w dniu, w którym jako wybraniec narodu, po raz pierwszy zasiadł na posiedzeniu Kortezów. Przerzucony nagle z zacisza domowego w zgiełk, wrzawę, i intrygi stronnictw, przekonał się własnem doświadczeniem o prawdzie przysłowia: że polityka i przyprawianie potraw w kuchni, są to rzeczy którym najlepiej nie przypatrywać się z blizka.

Ale zamiast wyliczać pojedyncze ustępy, pozwolę sobie przełożyć prozą jedną z poezyj Fernanda Gabriel w której odbijają się wszelkie zalety kastylijskiego wieszcza: prostota, wdzięk, jasność i piękność stylu, jakoteż wysoki polot myśli i wyobraźni, przechodzący łatwo i naturalnie od naiwnych rodzinnych obrazków do najwyższej filozofji.

DO DWULETNIEGO MEGO SYNKA, GONZALO GABRIEL.

„Synku mój, rozkoszo i pociecho mego życia, karbie i chlubo twej matki, błogosławiony zakładzie czystej miłości naszej,

„O! jakże twój czysty uśmiech, to zwierciadło niewinności jaką Bóg obdarza tylko małe dziatki.

„Twoje niepewne jeszcze kroki i niewyraźnie wymawiane słówka, dozwalające odgadywać że patrzysz i już uważasz wszystko.

„Spojrzenie twoich wielkich błyszczących oczu, w których zaczyna już przebijać boskie światło rozumu,

„Pochlebiają mojej ojcowskiej dumie i chwytają za serce; teraz dopiero pojmuję jak powinienem kochać rodziców moich.

„Żadna melodja nie mogłaby sprawić mi takiej rozkoszy, jak gdy słyszę że zaczynasz wymawiać moje i matki twojej imię;

„Największe rozkosze nie dorównają tej, jakiej doznaję, gdy ująwszy w dłonie małą twoją główkę, składam pocałunek na czystem i białem twojem czole, którego nigdy zła myśl nie skaziła,

„A ty dziecięcą wiedziony miłością, szczebioczesz pieszczotliwe słówka, i przechyliwszy na me piersi twą ubóstwioną główkę, maleńkie rączki zarzucisz mi na szyję,

„Jakaż to rozkosz dla mnie, gdy radośnym akcentem objawiasz swe zadowolnienie, a gdy cię coś zachwyci, pragniesz aby wszyscy podzielali twe uwielbienie.

„Z jakimże zachwytem patrzę na ciebie, gdy zasypiasz z taką ufnością i spokojem, a sen taką błogością piętnuje twoją twarzyczkę,

„Zdawałoby się że dusza twoja marzy wśród serafinów, i że tam wysoko, w niebie, rozmawiasz z braciszkami swemi aniołami,

„Wszelkie uczynki twoje nacechowane są szczerością i prawdą; nie ukrywasz ani nie maskujesz doznanych wrażeń, płaczesz gdy masz strapienie, śmiejesz się gdyś wesoły, odpychasz co ci się nie podoba, domagasz się tego co mieć żądasz.

„Zachwyca mnie to że nie troszczysz się o żadne niebezpieczeństwa, jakbyś czuł że kochające serca czuwają nad tobą bezprzestannie,

„Że w różowej twej twarzyczce takie piękne robią się dołeczki gdy śmiejesz się radośnie, co tak cieszy matkę twoją; gdy różne dokazujesz szaleństwa a nawet gdy psujesz wszystko co pochwycisz w swe, małe rączęta.

„Niekiedy, gdy widzę tę swobodną wesołość twoją, tak radującą moje serce, pragnąłbym aby te dziecinne lata twoje przedłużały się w nieskończoność, abyś nigdy nie zaznał niebezpieczeństw grożących następnym.

„A czasami znowu, chciałbym widzieć cię już porosłym, godnym twoich przodków i twego nazwiska, widzieć że wstępujesz w ślady wielkiego Gonzalo.

„Lecz, niestety! nielitościwy czas nie uwzględni mych życzeń i pragnień, nie powstrzyma się w biegu i po wieku dziecinnym nadejdzie późniejszy, a z nim zawody i rozczarowanie!

„Wtenczas, o drogie dziecię moje! wtenczas niech mi Bóg dozwoli, być zawsze obok ciebie i kierować twem niedoświadczeniem.

„Bo jakże to często jedno zboczenie nierozważnej i płochej młodości, może ściągnąć na nas niezliczone zmartwienia i nieszczęścia!

(D. c. n.)

Przegląd literacki.

O NIEKTÓRYCH DZIEŁACH

WYDAWNICTWA PRZEGLĄDU TYGODNIOWEGO

przez L.

(Dalszy ciąg).

9. Odruchy przez J. Sieczenowa. Przełożył Ksawery Budny 1 tomik.

Wiedząc, że autor jest lekarzem i fizyologiem, zamierzaliśmy pominąć całkiem tę książeczkę w naszem sprawozdaniu. Z lakonicznego nieco tytułu wnosiliśmy, że tu mowa o ruchach muskułów czy nerwów. Wszelako już wstęp i przedmowa wyraźnie nam dały poznać, że autor nie zamierza ograniczyć się sferą fizyologii: od razu widzimy tu poruszoną kwestyę istoty duszy i jej objawów, (nawiasem mówiąc, nie wiemy, dla czego spór o istocie duszy może mieć miejsce wrzekomo tylko pomiędzy młodzieńcem i starcem albo dwoma młodzieńcami, jak utrzymuje autor: znaliśmy sami dwóch starców, którzy toczyli spór o tym przedmiocie). Ztąd widzimy że autor należy do tej szkoły, która nie wyróżnia fizyologii od psychologii; że zaś do rozbioru najważniejszych kwestyj zabiera się jednostronnie, bez należytego przygotowania i bez znajomości przedmiotu (o ile rzecz tyczy się duszy), widać to z własnych słów jego: „nie jestem filozofem“ (str. 8) a jeszcze bardziej ze szczerego przyznania się w końcu dziełka (co zresztą dla znających się na rzeczy czytelników stało się już widocznem), jako „budował swoje hypotezy, nie znając prawie wcale literatury psychologicznej“ (str. 179). Oddając należną pochwałę szczerości autora, już z tych oświadczeń widzimy, jaką mogą mieć wartość psychologiczne hipotezy autora. Biedna ta psychologia! Niby-to raczą uznawać jej istnienie, a jednak rozstrzygają jej losy bez niej! To co nie uchodzi względem żadnej innej nauki, wolno w rozbiorze najzawilszych i najważniejszych kwestyj, tyczących się duszy. Jeżeli ktoś, naprzykład chce krytykować teoryę Darwina, wymagamy od niego ażeby znał nauki przyrodnicze i cały przebieg kwestyi stałości lub zmienności typów: żądamy dokładnej świadomości poglądów tak poprzedników jak i przeciwników Darwina—teoryi Cuvier'a, i Lamarck'a Geoffroy St. Hilaire'a, Agassiza, Vogta, Virchowa, Nägelego itd.

Tylko przy takiej znajomości przedmiotu, można wyjaśnić sobie należycie i główną kwestyę i wszystkie jej rozgałęzienia; wtedy tylko można ocenić fakta i dowody służące dla poparcia przeciwnych poglądów, i osądzić, które z tych sprzecznych poglądów mają więcej pewności lub prawdopodobieństwa. Takie wymagania, powtarzamy, stawiają naturaliści przeciwnikom i krytykom darwinizmu. Z psychologiją i w ogóle z filozofiją rzecz ma się zupełnie inaczej: dość jest na być trochę fizyologicznych wiadomości z dzieł Helmholza, Du Bois Reymond'a itd. ażeby uważać się za wszechmocnie uzdolnionego do wyrokowania w kwestyach, któremi najwięksi myśliciele rozmaitych kierunków, zaprzątali się poważnie od 20 przeszło wieków. Fizyolog *eo ipso* jest psychologiem, lada kandydat nauk przyrodzonych „w skutek tego że wyrecytował na egzamin kilkadziesiąt arkuszy opisu wymoczków i grzybów, ma już zupełne prawo urągać się majaczeniom“ Sokratesa i Kartezyusza, Platona i Lejbnica, Arystotelesa i Kanta. Nieprawdaż że osobliwsze to zjawisko? Osobliwsze i smutne! Zkąd ono pochodzi? Głównie z lenistwa i arogancyi, gdyż zgłębienie kwestyi trudniejsze jest niż błyskotliwe młodociane zapędy.

Tak i w p. Sieczenowie, chyląc czoło przed jego powagą jako lekarza i fizyologa, nie możemy uznać filozofa, uprawnionego do rozstrzygania kwestyj filozoficznych. Ten bowiem, który potrąca o kwestyę duszy, powinien posiadać dokładną znajomość nietylko psychologii, ale także i innych części filozofii, a przedewszystkiem logiki. Nieznajomość bowiem tej ostatniej przebija się na każdym kroku w rozumowaniach dyletantów-filozofów, którzy mniemają że przestudyowanie roślinnej komórki, uczyniło już ich wszystkowiedzami: prawdziwie aż litość bierze słuchając ich błędnych wniosków od części do całości, widząc jak podobieństwo u nich znaczy tożsamość, jak każde następstwo w czasie jest w ich oczach związkiem przyczyny i skutku, jak nieznacznie z góry już stawią jako pewnik, założenie, którego dopiero dowieść potrzeba, a potem wyciągają z niego pożądane dla siebie wnioski, kręcąc się w błędnem sofistycznem kółku itd. Wszystko to pochodzi z nieznajomości logiki i dla tego nie ma się czemu dziwić, gdy dosyć dmuchnięcia ażeby rozpadły się owe domki karciane.

Takie właśnie błędy spotykamy na każdym kroku i u p. Sieczenowa—błędy tém większej doniosłości że pomimo dość skromnych słów autora, zamieszczonych przy końcu dziełka, jako usiłował jedynie pokazać możliwość zastosowania badań fizyologicznych do zjawisk życia umysłowego, (aż 6 drugich pzypadków str. 179), zadanie wypowiedziane niejednokrotnie na początku i w ciągu całego dzieła, a cały szereg dowodów autora bynajmniej nie celują skromnością. Autor bowiem, ni mniej ni więcej, usiłuje wykazać że wszelkie objawy umysłowe wynikają z mechanicznych ruchów i odruchów w mózgu i nerwach (str 15 nast:) że najdowolniejsze napozór ruchy i objawy są nieodzownie koniecznemi, że wolna wola jest złudzeniem (str 164 i na str:) że pierwotna przyczyna każdego ludzkiego czynu znajduje się zawsze zewnątrz człowieka,, (str. 174) To ostatnie twierdzenie burzy

cały świat wewnętrzny człowieka, i uważa go, jedynie za bezmyślny automat: tak jest—bezmyślny, gdyż sama myśl—to ruch materyalny i konieczny.

Wnioski, jak widzimy, niezbyt skromne, i zaiste żeby porywać się do takich rzeczy, potrzebaby czegoś więcej jak znajomości medycyny, chirurgii i fizyologii.

(D. c. n.)

O ubiorach.

W ostatniem sprawozdaniu mód obiecaliśmy dać opis wyprawy, którą widzieliśmy u pani Siarczyńskiej na Krakowskiem Przedmieściu, wprost Bednarskiej ulicy Zaczniemy od ślubnej sukni z ciężkiej moire antique;—cała gładka, z puffem podpiętym iluzjową szarfą, zakończoną przy podpięciu węzłem i bukietem z pomarańczowego kwiatu. Stanik z karoczkiem z tyłu, z przodu podłużnie wycięty, miał sutą kreze, podgarnirowaną iluzją. Takiż welon, przy dyademie z pomarańczowego kwiatu, miał dopełniać to piękne ubranie panny młodej. Suknia aksamitna czarna, zwracała naszą uwagę wykwintnym gustem przybrania: długa i gładka, miała dużą tunikę z przodu zamkniętą, z boku grubo sfałdowaną i przepiętą klamrami lawowemi; z tyłu tak zwane szale, to jest dwa długie i równe końce, szerokie, oszyte wspaniałym dżetowym galonem, i prawdziwą gipiurą, były ułożone w zręcznem podpięciu. Stanik z karokiem oszyty galonem z dżetu i gipiurą, z rękawami podobnież przybranemi, z dodatkiem lawowych klamer.

Ładnym też był kostium lila jedwabny, w dwóch cieniach, ciemniejszym i jaśniejszym. Z tyłu były dwie falbany, tunika ciemniejsza ukośnie idąca z przodu, przytwierdzana z boku fantazyjną kokardą. Stanik ze zgrabnie ułożonym w kształcie bratka karokiem, z pod którego przepięta niby w węzeł tunika, ślicznie się układała. Wszystko było ubierane wypustkami ciemniejszemi, a nie wchodząc w drobniejsze szczegóły, powiemy tylko, że całość odznaczała się gustem, elegancją i starannem wykończeniem. Nie ustępował pierwszemu kostium rezedowy z dwiema falbanami, każda ułożona odmiennie; do tej spódnicy była polonezka z dwoma pufami, podpięta piękną szarfą jedwabną, tegoż koloru, tylko ciemniejszego cieniu. Stanik jak zwykle z karokiem, ale mającym odmianę w pomyśle kroju. Pominiemy inne, choć równie pełne gustu ubrania, wchodzące w skład tej pięknej i bogatej wyprawy, wspominając tylko o czarnej jedwabnej sukni, która celowała umiejętnym z tegoż samego materjału przystrojem. Falbany zakończone bufką i drobniuchną falbanką, stanowiły garnirunek sukni, stanika i tuniki, karczek był dość długi z tyłu, z przodu rozchodzący się w dwa bawety.—Rękawy suto garnirowane, całość istotnie prześliczna. Jużto musimy oddać sprawiedliwość pani Siarczyńskiej, (obecnie biorącej nazwisko Chłusowiczowej), że suknie i okrycia robione w jej magazynie, nie pozostawiają nic do życzenia. Gust o lekkość odrobienia, oraz przystępna cena, są to warunki które muszą zyskać uznanie każdego. Polecamy czytelniczkom naszym śmiało tę pracownię robót damskich, nadmieniając że szczególnej dla osób przybywających z prowincyi, adres jej może być pożądanym.—Do owej wyprawy należały jeszcze bardzo ładne negliże: jeden biały batystowy, pracowicie przybrany w bufki, zakładki i koronki, drugi niebieski wełniany, z miękkiej tkaniny; z fałdem z tyłu à la Watteau, u dołu przybrany szeroką falbaną z nagłówkiem, z przodu w pasie ściągnięty paskiem do figury. Kryza niebieska podszyta białym muślinem dopełniała tego strojnego ubrania na rano. Podobny był różowy, tylko gładki, i spięty do dołu na kokardy. Co do kolorów: *torchon, pain brûlé pochard* kolor czerwonawo lila rozlanego czerwonego wna, mają pierwszeństwo wszystkie szare, *écru* rezedowe, kamienne, stanowczo przyjęte w zamian oznaczonych barw, z których jedynie utrzymuje się niebieski i różowy, ale w odcieniach bladych.

Materjały strojne: *Tussor*, półjedwabny, z jedwabiu i lnianych nici, gładki na kostiumy, a na vêtement w kratki lub paski. *Dehemil* w rzucik i w pasy naśladujące koronkę, *Sultane*, zawsze modny, bo zastępujący jedwabny materjał, lekki a strojny *Mohair*, *Satin de Nice* na eleganckie kostiumy. Na polonezki widzieliśmy bardzo piękny wyrób, zwany *kanwą*, ażurowy, jedwabny szary; eleganckie to i trwałe, lecz całe vêtement kosztuje 75 rs. *Guipure* i niciany materjał ręcznej roboty, naśladujący wiernie haft i koronkę, używane będą jako modne nowości. Bareże, fulary francuzkie i chińskie, a na codzienne suknie płótna czysto lniane, surowe, w kolorze *écru* i *torchon*, gładkie, a na vêtement w paski i kratki. Suknie perkalowe z odpasowaniem nakształt koronki wielkiego używają powodzenia. Foular—de—laine, należy do praktycznych i ładnych materjałów, które noszą się dobrze i mają pozór dystyngowany. Żaknoty i perkale w rzuty, kratki, i paski, pojawiają się w tysiącznych odmianach.—Kostiumy robią się teraz w dwóch a czasem i w trzech cieniach jednego koloru; z przybrań najmodniejsze dżety, których wszędzie jest pełno: na kapeluszach, okryciach, tunikach, i t. p.

Panny Pfeiffer (ulica Rymarska N. 4) przywiozły z zagranicy wiele wykończonych kostiumów, strojnych i na mniejsze ubrania. Niektóre odznaczają się przystępną cenę i dobrym gustem. Widzieliśmy tam także modne kapelusze paryzkie, w kształcie czółek bez główki, przybrane kwiatami i dżetem. Ceny kapeluszy nie wygórowane, począwszy od rs. 6 mogą pozyskać zwolenniczki oszczędności.

U p. Hersego oglądaliśmy mnóstwo fryz, kamizelek, krawatek, które niezbędne się stały do zakończenia każdej toalety, Słuszny to zwrot mody; fryzy ładnie ubierają—chociaż zwracamy uwagę osób otyłych i krótko szyjnych, aby dobierały mniej sute, bo wysokie fałdy nie dobrze wyglądają przy ich twarzy. Krzyże lawowe, medaliony i serduszka, noszą się ciągle, na aksamitkach zaszytych dżetem.

Nowość w przybraniu parasolików stanowią sznury;—akselbantowany taki parasolik kosztuje rs. 7.

Ładne są ombrelki wachlarzowe słomiane, japońskie, stosowne do takichże kapeluszy; w gorącej porze rozpowszechnią się niezawodnie, a cena ich rs. 1.

Rękawiczki zawsze zapinane na kilka guzików, noszą się w kolorze odpowiednim do sukni. Glansowane do strojnego ubrania, duńskie do negliżowego.

Buciki czarne prunelowe najwięcej używane, zapinane są z boku na guziki. Wygodniejsze one od wciąganych z gumą, gdyż w gorąco nogi nabrzmiewają i trudno zdejmować obuwie. Nadmieniamy, że kto dużo chodzi, powinien nosić buciki na grubej podeszwie, co chroni od zmęczenia stóp przy uwierającym rozpalonym bruku. Strojne buciki bywają atłasowe; po domu, na lato, najwygodniejsze płytkie nakształt pantofelków, z nizkim obcasem i maleńkim korkiem, bo nic tak nie psuje kształtu nogi i zręczności ruchów, nad duże korki i obcasy.

Zawiadomienie.

Nakładem księgarni Ungra i Banarskiego wyszła książeczka niewielkiej objętości, ale dla matek i gospodyń pragnących siebie, dzieci a nawet i męża ubierać zgrabnie, wygodnie i oszczędnie, bardzo pożyteczna. Jest-to zupełny kurs nauki kroju sukien i okryć damskich, oraz wszelkiej bielizny męzkiej, damskiej i dziecinnej. Dla lepszego obiaśnienia samej nauki kroju, dodane zostały tablice litograficzne w ilości sztuk ośmiu, które zrozumienie całego wykładu bardzo ułatwiają.

Z okładki dowiadujemy się, że to jest przekład dokonany przez E. H. a systematu Thirifoga; według którego nauka kroju wykładaną jest w Warszawie w Zakładzie rękodzielniczym dla kobiet, przez panią A. Kobierzycką. Cena książeczki przystępna wynosi kop. 45.

Od Redakcyi.

Przy kończącem się pierwszem półroczu r. b. upraszamy o wczesne przesyłanie należytości prenumeracyjnej na Tygodnik Mód i Powieści na dwa następne kwartały, i to najlepiej wprost do Redakcyi pod adresem poniżej wskazanym. Jest-to bowiem najpewniejsza droga, aby pismo nasze w przesyłce dalszej zwłoki nie doznało. Warunki prenumeraty pozostają też same a mianowicie:

w Warszawie **Kwartalnie r. s. 1 kop. 80**
na Prowincyi i w Cesarstwie
Kwartalnie . . r. s. 2 kop. 50
Półrocznie . . r. s. 5 — —

Z powieści oryginalnych drukować będziemy prace pani E. Orzeszkowej, J. I. Kraszewskiego i innych naszych pisarzy.

Adres. Do **J. K. Gregorowicza**, Redaktora Tygodnika Mód i Powieści i Przyjaciela dzieci, w Warszawie ulica Żabia Nr. 956

Opis ryciny kolorowej.

Fig. 1. Ubranie dla chłopczyka. Bluzka i majteczki z czarnego aksamitu lub pół aksamitu, sięgające do kolan, zapięte na guziki z konchy perłowej. Pończoszki pąsowe, buciki ze sztylpami, kołnierzyk płócienny, ostęsnowany pliską z perkalu w paski.

Fig. 2. Ubranie domowe. Suknia ze srebrno popielatej alpagi, ma spódnicę przybraną u dołu szerokiem plisowaniem, przyciśniętem suto nagarnirowaną riuszą, objętą plisą niebieską jedwabną. Na przednim brycie naszyte są skośno marszczone falbanki, objęte plisą niebieską jedwabną. Na przednim brycie naszyte są skośno, marszczone falbanki, objęte pliskami. Pół tunika dodana z tyłu, podpięta jest w bufę, szarfą związaną z boku. Kołnierz chusteczkowy z koronką i takież mankiety.

Fig. 3. Ubranie spacerowe. Suknia z piaskowego fularu wełnianego, zakończona jest falbaną oszytą u dołu rypsową jedwabną plisą, brązowego koloru. Po nad falbaną dana woda w miejsce nagłówka. Na całej spódnicy naszyte są szerokie falbany, których oryginalny układ objaśnia rycina. Przez przedni bryt idą one w ząb lecz zupełnie gładko, nakształt szerokich plis, z brązowym podszyciem, na bokach podpięte są guzikami szmuklerskiemi, w ten sposób iż brązowe podszycie wywija się w ząb ku górze. Przez tylne bryty falbany dane są prosto i nadmarszczone, a najwyższa zakończona nagłówkiem. Najniższa falbana sięgająca dolnej idącej, w około, przemarszczona jest w dwie bufy i z boków przepięta kokardami z materyi brązowej. Kamizelka z kokardą z tyłu a z krezą w około szyi, jest także z rypsu brązowego. Podłużny wykrój ma dodaną riuszę muślinową, takież plisowanie podszyte w półotwartych rękawach. Kapelusz okrągły słomkowy, ubrany aksamitem, piórem i bukietem kwiatów, parasolik i rękawiczki koloru sukni.

Przyjaciel Dzieci N. 25 wyszedł z druku i zawiera. Japońskie damy, (z ryciną).—Wiosna, wiersz przez Fiedorowiczową.—Niekochana, przez Teressę Jadwigę.—Jan Kochanowski, przez Konstancyę K.—Pogadanki z ojcem.—Czyny nauczające.—Odpowiedzi Redakcyi.—Szarada.—Zadanie gramatyczne.—Znaczenie Szarady.—Rozwiązanie zadania.—Od Redakcyi.—**W dodatku:** Z pierwszej podróży Maryni i Janka (z drzeworytem).—Wiosna, wiersz, przez Rózię N. Dyń. dyń, dyń.—Pamięć Janka.—Stłuczona szyba, wiersz, przez L. B. Huśtawka.—Żebra, (z ryciną).

Cena w Warszawie kop. 75. Na prowincyi i w Cesarstwie z opłatą pocztową rs. 1.

Adres przesyłając na prenumeratę: Do **J. K. Gregorowicza** ulica Żabia N. 956.

Do dzisiejszego numeru Tygodnika Mód dołącza się dodatek z drzeworytami i rycina kolorowa.

Druk K. Kowalewskiego w Warszawie ul. Królewska N. 1066k (23). Дозволено Цензурою. Redaktor i Wydawca J. K. Gregorowicz.

Dodatek



N. 1—2. Suknia z vêtement, dla panienek.



N. 3. Suknia ze stanikiem z baskiną i tuniką w kształcie spódnicy. Przód stanika patrz ryc. 34 w N. 24. Podpięcie tuniki patrz ryc. 25—26.

N. 4. Ubranie domowe z fartuszkiem.



N. 5. Suknia z vêtement bez rękawów.

N. 6. Suknia przybrana patkami.



N. 7. Suknia z kamizelkowem przybraniem.

N. 8. Suknia z kaftanikiem bez rękawów, z długą baskiną.

Opis do N. 25.

(Ciąg dalszy.)

N. 4. Ubranie domowe i fartuszek z napierśnikiem.

Wełniana suknia piaskowego koloru, z szeroką, marszczoną, napowietrzną falbaną; u góry w miejsce nagłówka, zakończona marszczoną bufą. Przy fartuszku z popielatego, bawełnianego lastyngu, dodany chusteczkowy napierśnik. Garnirunek fartuszka stanowi falbanka 10 cent. szeroka, 1½ i 1 cent. szerokie pliski, biała 2½ cent. frendzelka i ⅓ cent. szeroka torsadka pikowa. Gruby, kręcony sznur biały, stanowi przystrojenie napierśnika i zdaje się utrzymywać kieszonkę zawieszoną u paska.

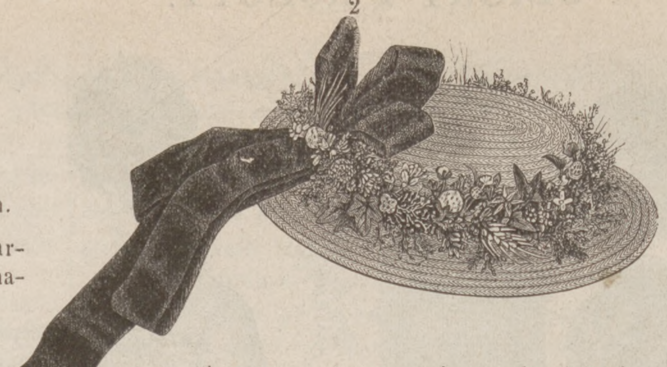
N. 5. Suknia z vêtement bez rękawów.

Krój jak do ryc. 36 i 37 w N. 8. Tygodnika.

Dwa cienie jednego koloru, popielatego albo dwa odmienne stosownie dobrane kolory, mogą być użyte na taką suknię. Szeroki, w kontrafałdy układany wolant, ma nagłówek z podszewką jasnego cieniu lub koloru; pod sutem vêtement, zręcznie podpiętem wygląda jasna podszewka. Kokardy, szarfy i rękawy są także jasne.

N. 6. Suknia naszyta pliskami i patkami.

Do przybrania sukni wełnianej mchowego koloru, dobrany jest cień ciemniejszy; 48 cent. szeroki plisowany wolant zakończony ciemną wypustką, ma na 7 cent. od dołu, naszytą plisę ciemną, 5 cent. szeroką. Trzema podwójnemi pliskami przyszyty jest nagłówek 4 cent. szeroki, i oszyte vêtement u dołu. Przednie bryty vêtement, krajane razem ze stanikiem, naszyte są od przodu i z boku patkami z podwójnych plisek, mającemi u dołu 12, a stopniowo ku górze skróconemi do 4 cent. długości. Każda patka przymocowana jest guziczkiem, oszytym ciemnym materjałem; na staniku patki są stopniowo aż do środka wykroju pleców, przedłużane od 4 do 6 centymetrów. Stojąca riusza przy szalowym wykroju stanika, 4 do 5 cent. szerokie falbanki i 3 cent. szerokie patki przy rękawach, objęte są ciemnemi wypustkami.



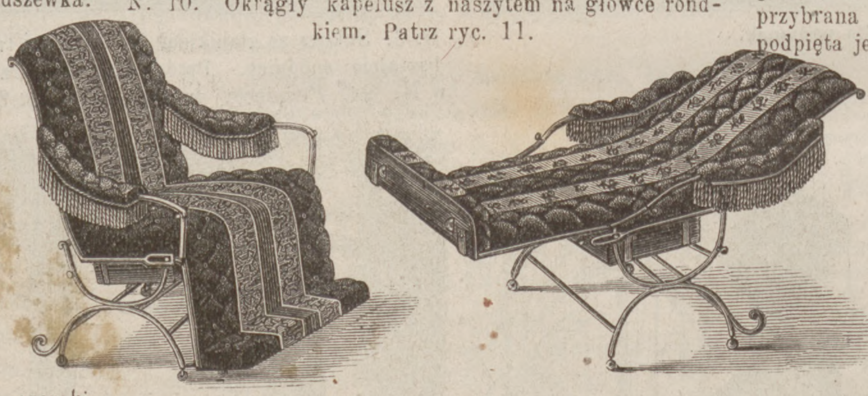
N. 9. Okrągły kapelusz z wieńcem polnych kwiatów.



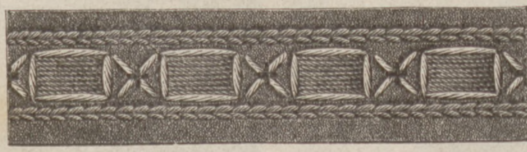
N. 10. Okrągły kapelusz z naszytem na główce rondkiem. Patrz ryc. 11.



N. 11. Okrągły kapelusz z naszytem na główce rondkiem. Patrz ryc. 10.



N. 13—14. Fotel dający rozkładać się na szeslong. Patrz ryc. 16.



N. 15. Wązki haftowany szlaczek.

N. 7. Suknia z kamizelkowem ubraniem stanika.

Suknia z fijołkowego wełnianego rypsu, ma garnirunek z rypsu lila. Z tyłu spódnica ogarnirowana jest 5 skośnemi, zachodzącemi na siebie falbankami od 10—12 cent. szerokiemi, objętemi u dołu pliską lila, 2 cent. szeroką; nagłówek stanowią dwie plisowane falbanki 4 cent. szerokie, jedna lila druga fijołkowa.

Przód sukni, ubrany 20 cent. szerokiem plisowaniem i trzema wodami lila. Wody marszczone wraz z falbaneczkami 1½ cent. szerokiemi mają 10—11 cent. szerokości. Na złączeniu garnirunków dodane kokardy, mogą być z rypsu z objęciem lila 1½ cent. szerokiem, albo ze wstążki fijołkowej rypsowej.

Razem ze stanikiem krajana spódnica vêtement, oszyta jest u dołu i z przodów plisą lila 3—4 cent. szeroką. Kamizelkowe ubranie stanika, 9 cent. szerokie, klapy przy rękawach i boczne ranwersy przy przodach tuniki, są z rypsu lila z plisowaniem fijołkowem 2—3 cent. szerokiem. Guziczki przy kamizelce i mankietach są oszyte rypsem fijołkowym, a dziurki naszyte takimże wąziutkim rulonikiem.

N. 8. Kaftanik z długą baskiną, bez rękawów.

Z przodu podłużnie plisowana i kokardami przybrana suknia, z tyłu podpięta jest w suty puf. Czarny kaszmirowy kaftaniczek z bardzo długą baskiną, wyszyty perełkami i ogarnirowany koronką, dopełnia spacerowego ubrania.



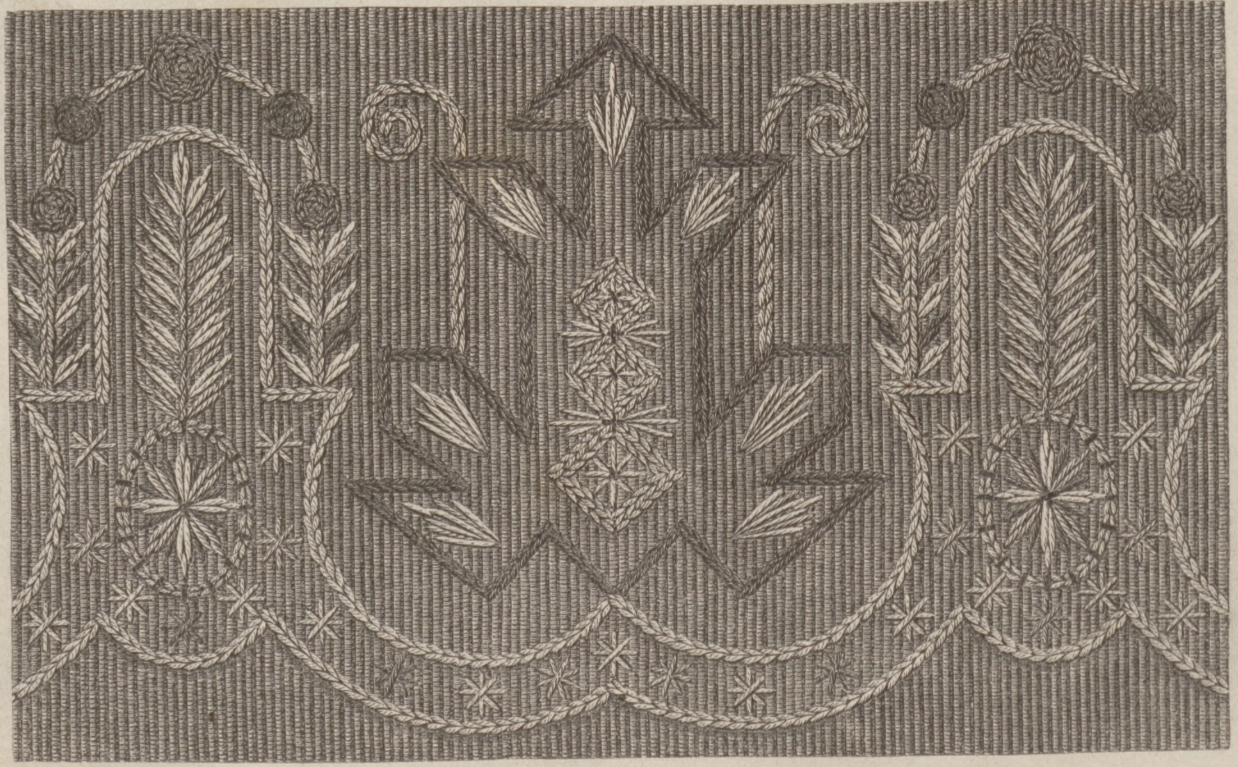
N. 12. Okrągły kapelusz z rondkiem wyszytem perełkami.

N. 9. Kapelusz pasterski z girlandą z polnych kwiatów.

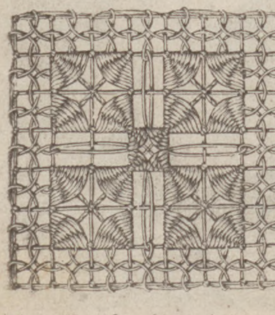
Nizka główka ryżowego kapelusza, opasana jest aksamitką 3 cent. szeroką, na którą założony suty wieniec z tyłu, zakończony i związany kokardami i końcami z aksamitki 5 cent. szerokiej.

N. 10—11. Kapelusz z rondkiem naszytym na główce.

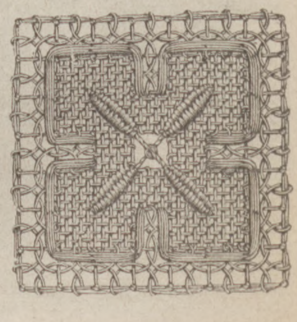
Rondko cokolwiek wypukłe, naszyte jest 3 cent. od dołu na główce 7 cent. wysokiej. Na podpięcie wystającej z pod ronda główki, na szarfy i kokardy z tyłu i na oszycie rondka, użyta jest na ryc. 10, wstążka różowa, 7 cent. szeroka. Kokarda z boku pod rondkiem i ubranie



N. 16. Szeroki pas haftowany do ryc. 13—14.



N. 17. Kwadracik siatkowy z wyszyciem gipiurowem.



N. 18. Kwadrat siatkowy z wyszyciem gipiurowem.



N. 19. Ząbki do koszul, kaftaników itp.

kapelusza w sposób na ryc. 11 wskazany, jest ze skośnie ciętego, czarnego aksamitu. Bukiet z tyłu na główce przypięty, ułożony z konwalii i kwiatów jabłoni.

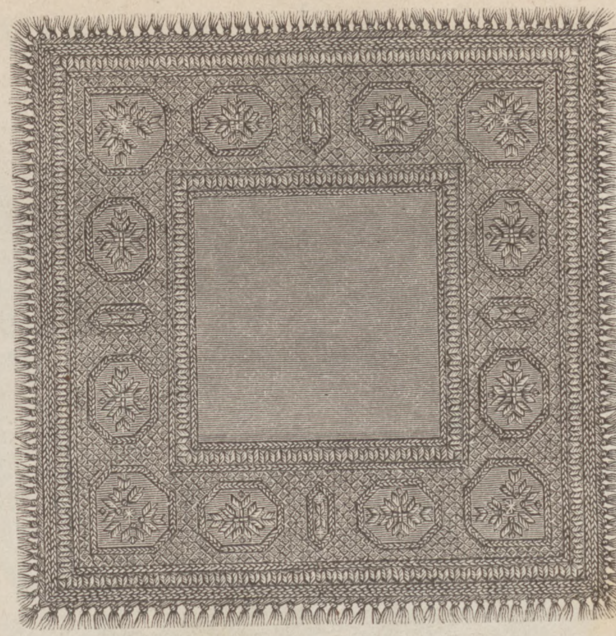
N. 12. Kapelusz okrągły z rondkiem dżetem naszytem.

W koło cokolwiek w górę wywinięte rondko, naszyte jest w zęby dżetowemi perełkami. Ubranie ze wstążki i kwiatów układa się w sposób na ryc. 12 wskazany. Taki sam kapelusz podaliśmy z przodu na ryc. 3 w N. 23 Tygodnika.

N. 13—14. Fotel stanowiący zarazem szeslong.

Żelazny z miękkiem wysłaniem i poręczami fotel, jest tak urządzony, iż z łatwością za przyciśnięciem sprężyn, zamieniony być może na szeslong. Mebel ten szczególnie dogodny dla osób słabych może być i dla zdrowych pożyteczny, jako łatwo dający się przenosić, mało zabierający miejsca i mogący czasami łóżko zastąpić.

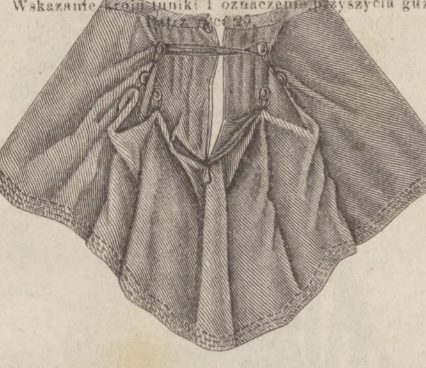
Ryc. 13 przedstawia taki fotel z haftowanemi podług ryc. 16 pasami; ry. 14 już rozłożony szeslong z wązkiemi szlakami, ozdobionemi aplikacyją pojedynczych kwiatów, wycinanych z kretonu.



N. 27. Serweta na stół. Haft na kanwie Jawa. Patrz ryc. 28 - 30.



N. 26 Wskazanie kroju tuniki i oznaczenie przyszycia guzików Patrz ryc. 25.



N. 25. Tunika. Urządzenie podpięcia. Patrz ryc. 26 i 3.

N. 15—16. Dwa szlaki na meble.

Haft kolorowy.

Wązki szlaczek ryc. 15 służyć może do ozdobienia różnych drobnych przedmiotów fantazyjnych, albo stanowić piękne dopełnienie i wykończenie, szerokich szlaków na meble, portjery lub tp. Haftować go można na suknie, aksamicie, materjach jedwabnych lub wełnianych, albo nawet na skórze, trzema cieniami jednego koloru, albo *3-ma* jasnemi, odmiennemi kolorami, odpowiednio do tła dobranemi.



N. 20. Ząbki do bielizny.

Szeroki szlak N. 16 służyć może do przyozdobienia fotelu ryc. 13—14; na modelu haftowany był na grubym, wełnianym, jasno szafirowym rypsie kolorem pąsowym, zielonym, czarnym i żółtym. Takim szlakiem ozdobić można cały garnitur mebli. Haft wydaje się równie dobrze na mniej kosztownych pokryciach w kolorach niewarowych i szarych; na drelichu, skórze angielskiej, rub[illegible] itp.



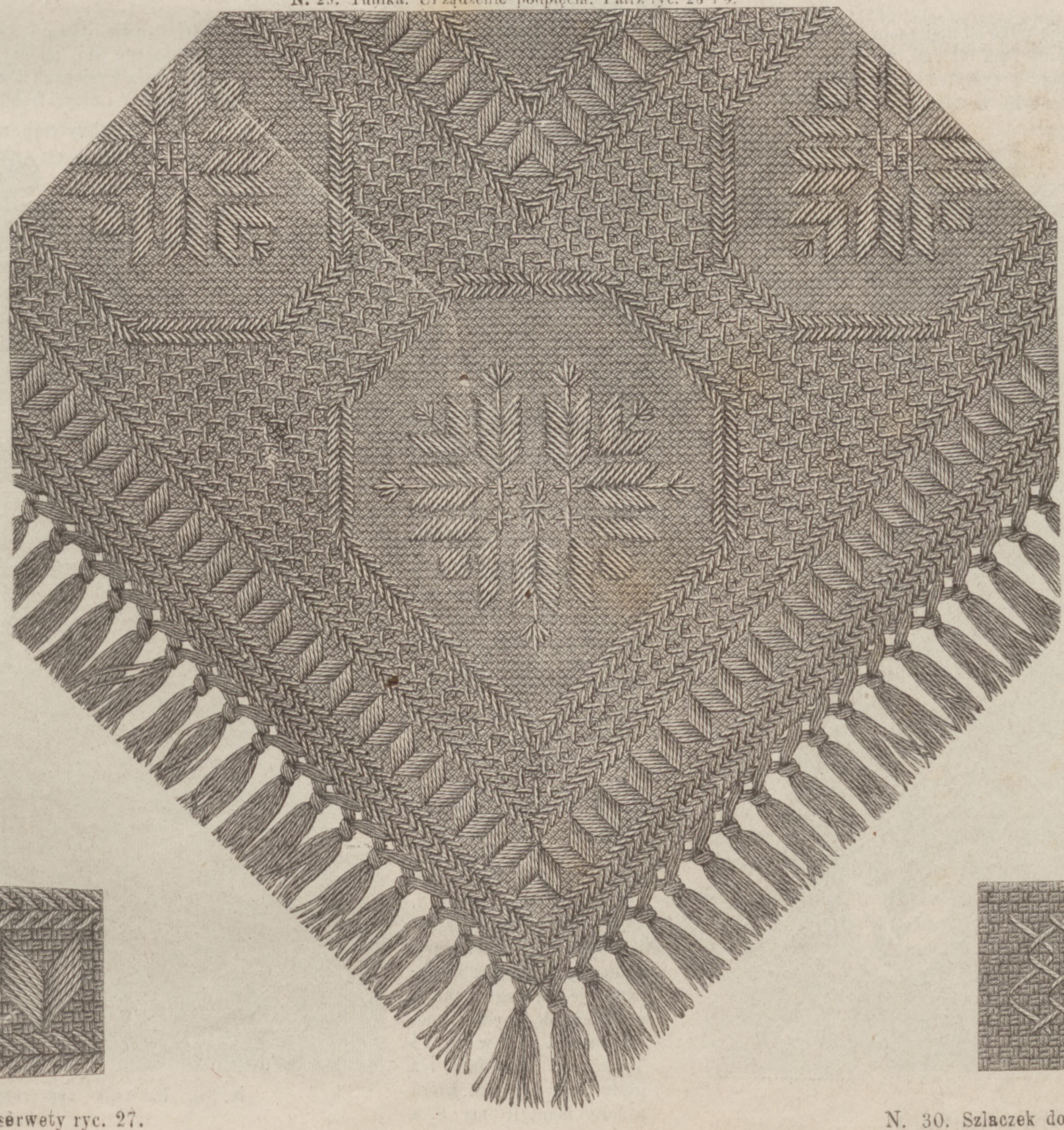
N. 21. Okrycie. Przód do ryc. 22. Patrz naszycie ryc. 11. w N-rze 24



N. 22. Okrycie. Plecy do ryc. 21.



N. 23. Agrafka szmuklerska do ryc. 22.

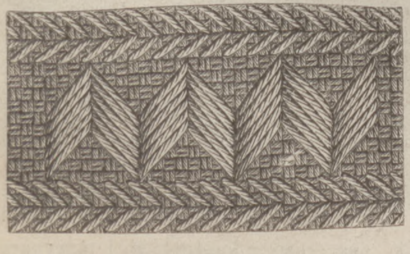


N. 28. Narożnik do serwety ryc. 27.

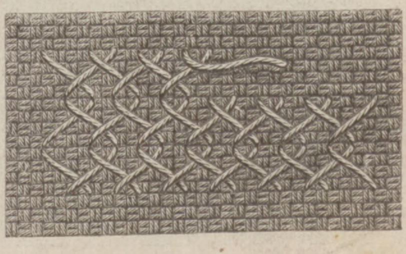


N. 24. Agrafka szmuklerska.

Obydwa szlaki przydać się także mogą do przyozdobienia sukien lub *vêtement*, odrobione takiemi jak tło kolorami do cieniu, albo kordonkiem czarnym i dżetem na kaszmirze czarnym. Rodzaje ściegów wyraźnie wskazane na deseniu.



N. 29. Szlaczek do serwety ryc. 27.



N. 30. Szlaczek do serwety ryc. 27.

N. 17—18. Dwa kwadraty z siatki gipiurowej.

Obydwa kwadraty służą do przyozdobienia rogów krawatek, albo w połączeniu z kwadratami tiulowemi lub haftowanemi, do ozdoby wszelkiej cienkiej bielizny.

N. 19—20. Szlaczki do koszul, kaftaników, itp.

Haft atłaskowy.



N. 31. Kaftanik pikowy i kapelusik chiński.



N. 32. Kaftanik bez rękawów i kapelusz tyrolski. Plecy kaftanika podaje ryc. 33.



N. 33. Kaftanik bez rękawów. Patrz ryc. 32.



N. 34. Kurtka dla chłopca i kapelusz z wywiniętem rondem.



N. 35. Pelerynka i kapelusz marynarski.



N. 36. Kaftanik spacerowy z kapturkiem i marynarski kapelusz.

N. 21—24 i N. 11 w N. 24 Tygodnika. Mantyla podana z przodu i z tyłu.

Krój jak do ryc. 12—13 w N. 19 Tygodnika. Mantyla z dubeltowego kaszmiru, przykrojona podług znanej formy talmy, różni się tylko od niej osobno wszytemi z tyłu nakształt baskiny 2ma fałdami, widocznemi na ryc. 21, oraz ranwersami przyszytemi do przodów, i odpowiedniem ubraniem, z tyłu zastępującem kapturek. Na modelu na każdą fałdę u dołu, kokardą z 6 cent. szerokiej rypsowej wstążki przepiętą, dodane było 5 cent. kaszmiru; w górze na zaszyciu dodane szarfy 9 cent. szerokie, a od spodu fałdy podszyte tasiemką, której końce zawiązują się z przodu. Przednie ranwersy śpiczasto ścięte od dołu, mają w najszerszem miejscu 10, w najwęższem u góry 2 cent. szerokości. Ranwersy z tyłu skośnie do środka ścięte i zeszyte, mają razem 3 cent. górnej, 16 dolnej szerokości a 37 długości. Tak brzegi ranwersów jak i mantyli, oszyte są wąziutką atłasową wypustką; garnirunek stanowią naszycia z kręconego, jedwabnego sznura, z dżetem dodanym w sposób na ryc. 11, w N. 24 Tygodnika wskazany i z gipiurowej koronki, która u dołu mantyli ma 8, a przy naszyciach, ranwersach i kołnierzu 5 cent. szerokości. Fryzka w dwie strony naszyta na pasku $1^1/_2$ cent. szerokim, spięta z przodu kokardą. Z tyłu na ranwersach, przyszyta agrafa z kwiatami, podana na ryc. 23 lub 24.

N. 25—26. Krój i sposób podpinania tiuniki do ryc. 3.

N. 27—30. Serwetka na stolik.

Wyszycie na kanwie Jawa.

Ryc. 27 przedstawia w zmniejszeniu całą serwetkę, której wielkość oprócz frendzli, wynosi 70 cent. w kwadrat. Ryc. 28 podaje w połowie naturalnej wielkości narożnik, a ryc. 29 w całej wielkości szlaczek, oraz wskazuje rodzaj użytych ściegów, które wyszywa się bawełną białą kręconą, na popielatej kanwie Jawa. Ryc. 30 daje próbkę wyszycia, zapełniającego tło między medaljonami. Na modelu frendzla była wysiepana i wiązana, ale można także serwetkę obrąbić i oszyć frendzlą z białej kręconej bawełny.

(Dalszy ciąg nastąpi).